

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 8 STYCZNIA 1927 ROKU

NR 2

TREŚĆ NUMERU: Homo homini lupus — *Stanisław Czosnowski*. Zapomniane hasło — *C. r.* Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska*. Jak słońce spija rosę (opowieść) c. d. — *Helena Ceyssingerówna*. Wiersz: „Spotkanie z Samarytanką” — *Anna Słoneczyńska*. Pani (dok.) — *Paweł Winikowiecki*. Niezlomne książątka — *Marja Kuncewiczowa*. Szopen i pani Sand (c. d.) — *Józef Janowski*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. Praca sportowa w halach gimnastycznych i w domu — *K. M.* Jedwabnik w Polsce — *H. C.* Hodowla hiacyntów. Oszczędność i skąpstwo — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Suknia popołudniowa — *Well*. Jakie bluzki są najmodniejsze. Kwiaty z jedwabiu do przybrania sukien. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — *C. Chivas - Bazan* (tłum. Dr. M. Kasterska). Arkusz wzorów.

HOMO HOMINI LUPUS

Najtrudniejszą ze sztuk — jest sztuka współżycia z ludźmi.

Ludzie nie rozumieją się wzajemnie. Mowa jest narzędziem zbyt niedoskonałym, aby mogła wyrazić najsubtelniejsze drgnienia duszy ludzkiej, które kryją w sobie istotę różnicy między jedną duszą, a drugą. Mowa jest tylko zestawieniem synbolów pojęć, jest tylko próbą uzewnętrznienia myśli, lub stanu, przez opisanie, nigdy jednak nie osiąga tego ideału, którym byłoby zupełne wyrażenie myśli, lub przelanie stanu w całości, bez uronienia jednej kropelki, do świadomości innej jednostki.

Wewnętrzna skala doznań i odczuć człowieka, jest niesłychanie bogata, podczas, gdy możność ludzkiego wyrazu jej nazewną, udzielenia jej innym, wzajemnej wymiany, jest porównawczo ogromnie ograniczona i nie rozszerza się nigdy tak, aby jeden człowiek mógł całą swoją treść wewnętrzną przełać w innego.

Wskutek tej dysproporcji między wewnętrzną treścią człowieka, a możnością jej wypowiedzenia, a więc i zrozumienia przez innych, człowiek jest i pozostanie na zawsze sfinksem dla człowieka. I jeśli homo homini lupus, to dlatego, że homo homini Sphinx. A człowiek bywa i sobie samemu wilkiem, gdyż greckie hasło „Poznaj samego siebie” nigdy nie przebrzmi.

Obok siebie żyją więc na świecie ludzie — sfinksy, z których każdy stanowi odrębny, nie poznawalny dla innych świat, a jednak ludzie ci są skazani na współżycie, gdyż wymaga tego ustrój świata i warunki ogólnie życiowe. Ta wzajemna niepoznawalność duszy

ludzkiej wikła ludzi w tragiczne sploty, powoduje nieukończony łańcuch omyłek w ocenie bliźnich i ich postępowania, a stąd wynika i nasze błędne postępowanie względem nich. Ludzie schodzą się lub rozchodzą w życiu często tylko dlatego, że w porę nie potrafili się przeniknąć i poznać, lub w decydującym okresie swej znajomości, fałszywie rozumiejąc się i błędnie komentując motywy swych czynów, źle się do siebie ustosunkowali.

Tem szerszą jest płaszczyzna zrozumienia się ludzi między sobą, im większą jest ich kultura. W sposób poniekąd mechaniczny zbliża ona ludzi do siebie przez szablon wychowania i wykształcenia, przez narzucenie im takich samych form życia, stosunków społecznych i prawnych, słowem przez wytworzenie jednakich norm życiowych, obejmujących najszersze rzesze.

Fakt, że kultura i jej produkty zwolna udostępniają się wszystkim, wytwarza to, że każda jednostka może wzbogacić swój umysł i duszę o jednakowe wartości, czerpane z ogólnego skarbcza, dzięki czemu ludzie mają ze sobą coraz więcej punktów stycznych.

Działanie kultury pod tym względem jest dwójakie.

Zasiadając do wspólnego stołu dorobku kulturalnego, ludzie zbliżają się do siebie i łatwiej im jest zrozumieć się wzajemnie. Dwaj ludzie o wysokiej kulturze ducha porozumieją się prędzej, i stosunek ich do siebie będzie szlachetniejszy, niż między dwoma ludźmi o różnym, lub niskim stopniu kultury.

Ale we wpływie jej na wzajemne porozumienie się ludzi jest i pewien tragizm, który polega na tem, że kultura, zbliżając ludzi przez wzbogacanie ich jednakościami wartościami, jednocześnie dzieli ich przez pogłębianie ich jaźni, wzmożenie ich indywidualności, skomplikowanie ich struktury psychicznej, czyli przez pomnożenie najosobistszych cech duszy, w których, jak w fałdach draperji, kryją się właśnie wszystkie różnice między ludźmi. Im wyższą jest kultura duchowa jednostki, tem chwyta ona więcej drgnień innych dusz, ale jednocześnie tem bogatszą, bardziej skomplikowaną, a przez to trudniejszą do zrozumienia dla samej siebie i dla innych—jest jej własna dusza. Dzięki kulturze, zdolność zrozumienia innych wzrasta w stosunku proporcjonalnym do uniedostępnienia poznania samego siebie.

Ale dobroczynne działanie kultury na stosunek ludzi do siebie wyraża się w tem, że jeśli nie toruje ona dróg do pełnego zrozumienia, to zawiesza nad głębią dusz ludzkich mosty wzajemnego wyrozumienia, większego, niż wśród ludzi niekulturalnych.

Ci potępiają bliźnich za poglądy i czyny, których motywy są dla nich niezrozumiałe; jedni potępiają u drugich wszystkie indywidualne cechy i odruchy psychiczne, któremi różnią się między sobą. Dlatego tłum kamieniuje swe proroki.

Wysoka kultura ducha, czego nie może w bliźnich zrozumieć, usiłuje wyrozumieć. Dlatego proroki nie przeklinają tłumy, który je kamieniuje.

W stosunkach społecznych dążność do coraz większego wyrozumiewania uwidocznia się np. przy zestawieniu prawodawstwa karnego obecnego, ze średniowiecznem. Coraz większem jest poczucie odpowiedzialności za bezwzględne potępienie, coraz poważniejsze są wątpliwości prawodawców przy kuciu surowych ustaw, coraz wyraźniejszą ich niechęć do szablonowego klasyfikowania czynów ludzkich, wreszcie—coraz głośniejszym protest przeciw okrucieństwu ludzkiej sprawiedliwości, która wznosi więzienia i szafoty, a nie umie rozwikłać tragicznego węzła duszy ludzkiej i zbadać tych wszystkich tajemnych dróg, któremi jednostka dochodzi do zbrodni.

Stopniowe, w miarę wzrostu kultury, łagodnienie obyczajów i humanitaryzowanie praw, będące wyrazem postępu, jest skutkiem coraz szerszego uświadamiania sobie tej prawdy, że człowiek nie może być bezwzględnym sędzią człowieka, gdyż dusza ludzka jest spletem takich tajemnic, iż tam, gdzie nie można ich dociec i zrozumieć, nie wolno ich potępić, lecz należy—wyrozumieć.

Coraz większa względność kodeksów w ocenie win ludzkich wynika z pogłębiania się świadomości o autonomicznych prawach duszy ludzkiej i tajemnicach jej sprężyn. Prawodawca współczesny, w większym stopniu, niż dawny, świadom tego, jak niezbadane

są impulsy duszy ludzkiej, ujmuje życie w bardziej wyrozumiałe, doskonalsze normy.

Ale prawa publiczne tylko w pewnym stopniu wkraczają w dziedzinę życia prywatnego, i choć nie można zaprzeczyć, że ludzie i w stosunkach prywatnych postępują z coraz większym umiarem, daleko im jednak do tej wyżyny, na której niczyje usta, w poczuciu swej odpowiedzialności za to, nie będą już ferowały bezwzględnych wyroków.

A wszak właśnie przy ognisku domowem, w gronie przyjaciół upływa najistotniejsza część życia człowieka! Gdzież więc większego trzeba zrozumienia duszy ludzkiej i wyrozumienia w niej wszystkiego, co jest niedostępne zrozumieniu, jeśli nie właśnie w życiu prywatnem, w tych najbliższych, najintymniejszych stosunkach naszych, gdzie co chwila stajemy wobec zagadki czynów osób bliskich, których motywów nie rozumiemy, a które przez to samo zawierają w sobie groźbę konfliktu.

Niestety, w uporze mierzenia wszystkiego skalą własnych pojęć, nie zdobywamy się na bezstronne wyrozumienie, lecz w zatargu żądamy, albo bezwzględnej kapitulacji partnera i uznania przezeń naszego sądu, albo—w najlepszym razie, decydujemy się na poniżający go w gruncie rzeczy gest naszego łaskawego przebaczenia. Z niezliczonej ilości najsubtelniejszych przyczyn, które składają się na odruch duszy ludzkiej, pomijając bezmiar najistotniejszych, a nieznanych nam, ferujemy wyroki potępienia na zasadzie tych kilku powierzchownych przyczyn, które znamy, lub podejrzewamy. A schylając się po kamień oskarżenia, lub potępienia, zawodzi nas pamięć, że i myśmy stali tyśiąckroć pod gradem takich kamieni, z poczuciem gorzkiej dumy, że oskarżyciele i sędzię nasi nie dorosli do sądu nad nami, gdyż ślepiemi oczyma nie widzą, jakie wewnętrzne pobudki kierowały czynem naszym. Świadomi jednak niekompetencji innych w sądzeniu nas i krzywdy, wyrządzonej nam przez ich niesprawiedliwy sąd, sobie uzurpujemy prawo wynoszenia wyroków, jakgdyby tylko nasza dusza miała tajemnice niedostępne dla innych, a inne dla naszej ich nie miały! I ludzie co chwila w stosunku do swych najbliższych popełniają zbrodnię krzywdzącego sądu.

Dążenia do poprawy stosunków ogólnoludzkich ograniczają się przeważnie do korzystnych dla jednostki zmian w jej zależności od państwa i społeczeństwa. Dotyczy to udogodnień ekonomicznych i społecznych, liberalnego rozszerzenia praw obywatelskich, łagodniejszego prawodawstwa, większej wolności, słowem poprawę stosunków widzi się wyłącznie niemal w powiększeniu dobrobytu i rozszerzeniu zakresu praw obywatelskich jednostki.

Olbrzymia doniosłość dobrobytu i poczucia pełni praw zakrywa nam przed oczyma to, że człowiek osobiste szczęście swoje opiera nietylko na idealnych choćby, warunkach ogólnych. Nie wystarcza mu do

szczęścia dobrobyt, najdemokratyczniejsze prawo wyborcze, świetne sądownictwo i świadomość, że za żadne przestępstwo nie będzie powieszony, gdyż zniesiono karę śmierci, słowem niedość mu, że stosunek jego do państwa i społeczeństwa, i naodwrot, jest idealny.

Większa część życia upływa jednostce w stosunkach prywatnych i tu, w tem prywatnem jej życiu, w stosunku do rodziny i najbliższego koła przyjaciół kryją się te drobne, co chwila zdarzające się nieporozumienia, które, nigdy nie wyrozumiewane, sumują się z czasem w ogrom nieszczęścia.

A najmniej właśnie widać wysiłku, aby tak wychowywać społeczeństwo, iżby nie tylko korzystało z wyrozumiałości praw publicznych, ale aby samo, w swem prywatnem życiu, stosowało tę wyrozumiałość względem otoczenia. I nie zaznaczenie swej wyższości, nie pogardliwe pobbazanie, ani szlachetne przebaczenie, ale istotne, szczere wewnętrzne wyrozumienie jest właśnie warunkiem takiego stosunku do najbliższych, który daje rękojmię harmonijnego współżycia.

Prywatne życie nasze jest widownią ciągłych drobnych starć z otoczeniem na tle zasadniczych różnic w usposobieniach, poglądach i postępowaniu. Każde z nich zostawia w duszy naszej drobną rysę i dorzuca ziarnko goryczy. Wając racje swojej duszy i przypuszczalne, ale nie istotne, racje cudzej, ludzie zawsze są skłonni do uznania bezwzględnie swej słuszności i potępienia przeciwnika. Dziwią się, że ktoś może postępować inaczej, niż oni, że może nie rozumieć, nie czuć czegoś tak, jak oni, tj. jedynie dobrze.

A z tych niewyglądzonych różnic, z tych niewyjaśnionych nieporozumień z czasem wyrasta między dziećmi i rodzicami, między mężem, a żoną, między rodzeństwem, lub przyjaciółmi mur takiej niechęci, wzbiera morze takiej goryczy, że tam nawet, gdzie wyrozumiałości nie domaga się żadna wina, żadna zbrodnia, tylko zwykła różność ludzkich odczuć i rozumień rzeczy, atmosfera domowa przesiąka niechętnem niezrozumieniem, a stosunki wzajemne ciąży, jak kajdany i są znoszone przez ludzi, jak najcięższe kajdany powinności, honoru, sumienia lub konwencjonalnych względów towarzyskich.

Z pod takiego dachu wygnane jest nie tylko szczęście rodzinne, ale i zwykły spokój.

Dusze uginają się pod ciężarem tajonych wyrzutów i żalów, wiją się w strasliwej męce niemożności pogodzenia obowiązków krwi i sumienia z tą przemożną niechęcią, jaką wzbudza zupełna obcość cudzej duszy.

Cóż dopiero wówczas, gdy na skutek niezbadanych przesunięć w pokładach duszy ludzkiej, ujawnia ona cechy przez zwyczajowy kodeks etyczny i moralny uznane za złe lub zbrodnicze. Nawet ślepa miłość do bliskich sama nie ocali wówczas harmonii stosunku, gdyż zdobyć się ona może najwyżej na przebaczenie, a w tem uczuciu tkwi zawsze zaznaczenie wyższości przebaczonego.

Wówczas dusza może przerzucić duszy tylko jeden most — wyrozumienia, tj. takiego ustosunkowania się do cudzej duszy i jej przejawów w czynach, która w każdej jednostce uznaje istnienie cech indywidualnych, niepoznawalnych dla innych, i dynamicznych sił psychicznych, które kształtują stosunek tej jednostki do zagadnień życiowych.

Wyrozumienie wymaga od człowieka, aby stanął ponad bezwzględnością kryterjów dobra i zła i aby zrozumiał, że każdy czyn ludzki, nawet zbrodnia, a może zwłaszcza zbrodnia, jest koniecznym wynikiem działania tych nieznanых dynamicznych sił, utajonych w głębi duszy ludzkiej.

Człowiek, który wobec doznanej krzywdy potrafi się zastanowić, czy posiada w ręku wszystkie nici postępowania swego przeciwnika, czy zna wszystkie sprężyny jego psychiki, przyzna, że jego krzywda jest wypadkową działania sił, nieznanых mu, a więc nie podlegających jego sądom.

Niech wówczas uszanuje niedocieczoną logikę życia, przejawiającą się w impulsie duszy ludzkiej, i do własnej krzywdy, do własnego cierpienia uśmiechnie się najmědrszym, najpiękniejszym uśmiechem wyrozumienia.

Gdyby ten uśmiech częściej zakwitał na ustach naszych, jaśniej byłoby pod naszymi strzechami.

Stanisław Czosnowski.

ZAPOMNIANE HASŁO

Przed laty czterdziestu praca nad oświatą ludu stała się naczelnem programowem hasłem całych liczących, ściśle, lub luźniej zorganizowanych odłamów społeczeństwa polskiego.

Była czemś więcej, niż naczelnym punktem programu, była niezłomną wiarą entuzjastów. Wiązała się w nierozdzielalną całość z aspiracjami polskiego

społeczeństwa do państwowego niezależnego bytu. Zgodnie z niekształtnym dwuwierszem, wypisywanym na patryjotycznych wydawnictwach, wiercono, że „oświata ludu dokona cudu”. Tym oczekiwaniem „cudem” była niepodległość. Tego się po wysiłkach oświatowych spodziewano. Dlatego też nie cofano się przed srogą pokutą więzienia i zsyłki, grożącą za

pracę oświatową. Charakterystycznym było, że wiarę tę wyznawali nie tylko oświatowcy sami, ale i ci, co byli obiektem ich pracy, i nie tylko dorośli, ale nawet dzieci proletariatu warszawskiego dwa te pojęcia: pracy oświatowej i niepodległości wiązały, sądząc, że druga powinna, musi być następstwem pierwszej. W ich wspomnieniach—dziś tak się to przedstawia.

Praca oświatowa, w warunkach ówczesnych, nasuwała niesłychane trudności.

Tworzyć szkoły, uniwersytety ludowe i nieludowe, władze szkolne, inspektoraty itd. itd.—tworzyć je potajemnie i strzec od wykrycia, tworzyć je przy pomocy minimalnych środków pieniężnych, i środki te—także w sposób konspiracyjny—zdobywać, a wszystko to pod nieustającą groźbą załamania się całej, tak sztucznie i niemal precyzyjnie związanej, budowy—takie dzieła pochłaniały tyle sił, czasu, zdolności i odwagi, że, choć do pracy wciągano siły coraz nowe, choć entuzjazm rozlewał się szeroko, rezultaty akcji musiały być dość ograniczone.

Jakość tych rezultatów była wysoka, ilościowo nie odpowiadały one nigdy zamierzeniom, chęciom, planom działaczy, a nade wszystko—palącym potrzebom społeczeństwa.

Noc ciemnoty, którą rządy zaborcze, a zwłaszcza rząd rosyjski, rozpościerały nad Polską, tylko częściowo, tylko w szczupłych ośrodkach ulegała, dzięki tym wysiłkom, chwilowemu rozproszeniu. Nie było więc równomierności między wysiłkiem, a jego bezpośrednim skutkiem. Oceniając dziś, z pewnej odległości, interesujące to zjawisko, rzec można śmiało, że niema kosztowniejszego sposobu szerzenia oświaty—jak przez działalność konspiracyjną. Jest to marnotrawstwo czasu, sił, zdolności, energii dla wyników, na ogół, nikłych. Oczywiście, nie było wtedy innego sposobu, i niechby nikt, słów tu wyrzeczonych, nie poczytał za urąganie tym szlachetnym ofiarnikom, którzy najlepszą część duszy swojej, najpiękniejszy okres rozkwitu młodości, często z zaparciem się osobistego szczęścia, wyrzeczeniem pracy nad własnym rozwojem i t. d. i t. d. rzucali w czarną otchłań, chłonącą wszystkie promienie ich wysiłków.

Dziś, gdy „cud“ stał się rzeczywistością, i, nawiasem mówiąc, na innej drodze, niż przewidywali działacze oświatowi, gdy urodził się nie z woli ducha oświeconego i na wyżyny obywatelskiej cnoty podniesionego ludu, a ze straszliwych kataklizmów światowej wojny, dziś hasła oświatowe straciły wiele na popularności.

Zdaje nam się, zresztą, że od tego mamy Rząd i Ministerjum Oświecenia publicznego.

I nic już więcej sami w zakresie oświaty robić nie potrzebujemy.

W tem właśnie tkwi fundamentalna pomyłka.

Żaden Rząd, jakiegokolwiek odcienia i choćby z najgenialniejszych ludzi złożony, nie zdoła pchnąć z miejsca masy naszego społeczeństwa, jeśli społeczeństwo to samo nie przyda do tej akcji własnych wysiłków.

To się stosuje zarówno do kwestyj oświatowych, jak i do sprawy drożyzny np., albo sanacji moralnej urzędów i t. p.

Twierdzić nie chcę, że się u nas dziś dla oświaty, poza or-

ganizacją państwową, nic nie robi. Przeciwnie, robi się nawet znacznie więcej, niż za czasów niewoli.

I to nic dziwnego! Wszakże wszystkie drogi stoją nam dziś otworem. Nikt nie wzbrania, nie przesładuje, nie karze. Nie potrzeba nic ukrywać, tracić przeważnej części sił i zdolności na konspirację—ekspensować odwagi i przebiegłości.

Więc też powstają uniwersytety ludowe, takie jak w Łyczach i Dalkach. Rozwija znaczną działalność „Polska Macierz Szkolna“, „Instytut Oświatowy im. Staszica“, powstają uniwersytety korespondencyjne, Kursy dla dorosłych i młodocianych, „Uniwersytety robotnicze“ i t. d. Szerzą kulturę artystyczną Związki teatrów ludowych; organizacje takie, jak „Związek Młodzieży wiejskiej“, „Kółka Ziemianek“, podnoszą ogólny poziom kulturalny wsi, szerzą oświatę i fachową wiedzę rolniczą. Prowadzi się pracę oświatową w wojsku. Każde niemal stowarzyszenie, choć poświęcone specjalnie innym zadaniom, posiada, mniej, lub więcej czynną, sekcję oświatową. Każdy samorząd posiada także wydział.

Twierdzą jednak, że, po pierwsze: tego wszystkiego jest za mało w stosunku do kolosalnych potrzeb naszych w tym zakresie i do tych niezmierzonych możliwości, jakie się przed nami nagle otworzyły.

Po drugie: środki i metody pracy oświatowej, stosowane dziś, są przestarzałe, nie odpowiadają ani potrzebom, ani możliwościom, jakie się nasuwają nam z całą siłą. Brak na każdym kroku inicjatywy, rozmachu, świeżych pomysłów i woli ich wykonania.

Po trzecie: działalności naszej w tym kierunku brak dawnego, płomiennego entuzjazmu.

Co do pierwszego: Zostawili nam zaborcy kraj zdziaczały, niższy kulturalnie o wielką ilość stopni od przeciętnego europejskiego poziomu, obniżony stosunkowo niesłychanie od skali naszych dawnych kulturalnych wyżyn.

Nie sięgając wieku XVI, gdy przodowaliśmy światłem Europie, gdy do naszych uniwersytetów przybywali po wiedzę Niemcy i Francuzi—mówmy już tylko o epoce Królestwa Kongresowego, o uniwersytetach w Wilnie i w Warszawie, o liceum w Krzemieńcu, o całej sieci szkół średnich, rozsianej po miastach wojewódzkich i powiatowych, o podnoszącym się wciąż poziomie oświaty ludu wiejskiego, o licznych szkołach i cennych bibliotekach klasztornych, i t. d.

Wszystko to w morzu późniejszych klęsk wojennych i pod knutem przesładowań i ucisku zginęło, upadło, zostało wdeptane kopytami koni kozackich w krwawą ziemię naszej Ojczyzny.

Świadomie, celowo niszczone naszą kulturę, zamykano uniwersytety i szkoły, a zbiory naukowe i biblioteki, nawet drzewa ogrodów botanicznych wywożono i oddawano rosyjskim zakładom naukowym.

Chodziło o zrównanie tej ziemi o starej sławie, ziemi, co w XV wieku tworzyła swój pierwszy uniwersytet—z dziką pustynią wielkorusyjską, polakierowaną po wierzchu przez Piotra pokostem kultury europejskiej, a która, pierwszy swój wyższy zakład naukowy w Petersburgu otwartwszy w XIX stuleciu, miała w nim na początek 18 słuchaczy...

Gdy 5 sierpnia 1915 r. w łunach pożarów odchodziły stąd



wojska rosyjskie, zostawiły nam w rękach kraj analfabetów.

Mimo wysiłków tajnych działaczy, mimo krótkiej pracy jawnej Macierzy Szkolnej — był to kraj analfabetów i, powiedzmy sobie, że do dziś w znacznym stopniu — pozostał tem, czem był wtedy.

W pobliżu stolicy przecież mamy wioski, w których dziki średniowieczny zabobon doprowadza do okrutnych scen, do prześladowania czarownic i t. p. Cóż mówić o różnych zapadłych kątach, o t. zw. Kresach!

Ta ogólna ciemnota sprawia, że reformy polityczne i społeczne, same w sobie wartościowe, i przez które przeszły już dawno ludy zachodu, wydają u nas złe owoce, albo nawet są, do czasu, niewykonalne.

Weźmy np. prawo powszechnego głosowania.

W ewolucyjnym ruchu ku nowym formom ustroju społecznego—wprowadziły u siebie tę zasadę społeczeństwa zachodniej bez żadnych widocznych szkód i gwałtowniejszych wstrząsów. Ale u nas był, rezultatem niedorozwój ciała prawodawczych, i to nieustające kołysanie się nawy naszego Państwa z lewej strony na prawą i z powrotem.

Oczywiście, nie znaczy to, by znieść powszechne głosowanie, ale trzeba oświecać głosujących, trzeba ich wychowywać na obywateli, trzeba to robić jaknajprędzej i jaknajintensywniej.

Coś podobnego jest z Reformą rolną.

Wyrazem naszej odmienności od europejskiego zachodu, powiedzmy otwarcie, naszej niższości gospodarczo-kulturalnej, jest nasza wielkoobszarowa gospodarka, będąca po prostu anachronizmem w XX. wieku!

Ideą twórców i zwolenników Reformy rolnej jest stworzenie u nas licznej, zamożnej warstwy włościańskiego, intensywnie gospodarującej na rozdrobnionych posiadłościach, mogących wskutek tego wyżyć znacznie większą, niż dotychczas, liczbę mieszkańców. Zagadnienie Reformy rolnej jest zagadnieniem niezmiernie wagi. Wiąże się bowiem z pytaniem, czy na pomoście tym, między wielomiljonowym na rodem niemieckim, a wielomiljonową mieszaniną ludów i ras, stanowiącą państwo rosyjskie, czy stanie odpowiadający im liczebnie, naród polski?

Dodawać nie potrzeba, jak niepokojące dla nas widoki pytanie to odsłania przed naszymi, w przyszłość wpatrzonemi, oczami.

A jednak, nawet zwolennicy Reformy rolnej cofają się przed jej natychmiastowym wykonaniem, nie tylko ze względów politycznych i finansowych, ale także ze względu na to, że w rękach ciemnego włościanstwa mogłaby—nawet, przynajmniej—przynieść Reforma, zamiast wzmożenia produkcji rolnej, jej zmniejszenie, że mogłaby ogłodzić miasta i zachwiać bilansem handlowym Polski.

Nad podniesieniem wiedzy rolniczej wśród włościan pracują czynniki społeczne, w postaci Kółek rolniczych, Kół ziemianek i t. d. Pracuje Ministerstwo Rolnictwa, zakładając liczne szkoły rolnicze niższego typu.

Nie jest jednak wcale dobrze pod tym względem. Z niektórych okolic kraju dochodzą do nas wieści, że szkoły te świecą pustkami, że więcej w nich nauczycieli, niż uczniów. Z innych znów, że, mimo istnienia Kółek rolniczych, włościanie po dawnemu nie dają się nakłonić do melioracji, pomimo, że koszt ich byłby minimalny i t. d.

Jemy wciąż, na każdym kroku, gorzkie owoce ciemnoty!

Mnożyłoby można bez końca przykłady ujemnych jej skutków. Dostyc chyba, jednak, i tych dwóch.

Co do drugiego twierdzenia, obrona jego jest również nietrudna.

Dość wskazać na niewyzyskanie dotąd tak ważnych czynników pracy oświatowej, jak kino i radio.

O roli, którą w pracy kulturalno-oświatowej odegrałby mógł teatr świetlny, pisaliśmy niedawno w „Bluszczu”. O upowszechnie jaknajwiększe radio-aparatów odbiorczych starać się powinny wszystkie organizacje i stowarzyszenia, mające sekcje oświatowe. A wtedy mówić będzie można do wszystkich, i praca kulturalno - oświatowa posunie się olbrzymimi krokami.

I w innych rzeczach należałoby zerwać z szablone. Elementarz i podręcznik historii, czy geografii—to nie to, czego dziś potrzeba masom. To są środki działania powolne, a my musimy działać szybko i w jaknajszerszym zakresie. Trzeba działać na wzrok, na wyobraźnię, trzeba mówić do tłumu obrazami. I dla tego tak ważnym czynnikiem mogłoby być kino. Ale i tam, gdzie niema kina, albo niema odpowiednich filmów, organizować można np. pochody historyczne, wiążąc je z przedstawieniami teatru ludowego, opierając o tradycję danej miejscowości.

W Wilanowie np. zrobmy przedstawienie publiczne, w biały dzień, dla wszystkich,—z dziejów Jana III i przesławnych jego zwycięstw nad półksiężycem. W jakiejś popołudnie niedzielne wyobraźmy sobie np. pochod poselstwa cesarskiego i papieskiego, które króla prosić mają o pomoc dla oblężonej stolicy Austrii. Co za wrażenie na zebranych z całej okolicy włościaństwie, jakie uczucie dumy, gdy król decyduje się przełać krew polską w obronie chrześcijaństwa!

W Łucku, na olbrzymim dziedzińcu zamkowych ruin, przypomnijmy zjazd monarchów i książąt z r. 1429. Niech tam cesarz Zygmunt kusi Witolda do zerwania Unji z Polską, niech któraś z historycznych postaci idei Unji broni. Zaimprovizujemy teatr, i orszaki różnych monarchów, książąt i panów przeprowadźmy przez smutną dziś, podupadłą miścinę. Niech Łuck przypomni, że był kiedyś wielkim i bogatym grodem. I t. d. i t. d.

Oczywiście, w pochodach i przedstawieniach tego rodzaju weźmie udział młodzież ze szkół średnich i powszechnych. Żyje się ona przez to z daną epoką sto razy lepiej, niż przez suchy wykład nauczyciela. Będzie musiała oddać wiernie kostjумы, zachować w przemówieniach charakter epoki, zharmonizować najdrobniejsze szczegóły. W szarem życiu kresowego miasteczka byłby dzień takiej uroczystości dniem pamiętnym; wielu otworzyłby oczy na wiele rzeczy nieznanych, lub zapomnianych. A gdyby jakaś instytucja chciała traktować ten pomysł, jako imprezę dochodową, to i dochód byłby niewątpliwie większy, niż z nieznośnych i zniechęcających dziś, kwest ulicznych. Nawiasowo mówię, że w miasteczku o ludności narodowo mieszaną należałoby dochód z imprezy rozdzielić sprawiedliwie między instytucje kulturalne, czy dobroczynne, wszystkich narodowości, lub przeznaczyć je na jeden ogólny, wszystkim miły, cel.

Podane tu przykłady są, oczywiście, tylko przykładami. Można czerpać ze wszystkich dziedzin tradycji i wiedzy. Można robić przedstawienia z życia różnych ludów, nawet z życia zwierząt i owadów. Można w ten sposób popularyzować wiedzę przyrodniczą, można czarować wdziękiem baśni i t. d. A chodziłoby nam przytem i o rozerwanie tych pajęczyn

szarej nudy, które po wojnie tak jakoś dziwnie osnuły nasze życie, zwłaszcza życie prowincjonalnych partykularzy, i z której zwojów zabójczych uciekają ludzie słabsi w świat perwersyjnych podniet i wszelkiej „moral insanity”. Nie są to wreszcie pomysły jedyne. Popracujcie myślą, a znajdziecie tysiące innych. Popatrzcie na wschodniego sąsiada. On nauki swoje wszelkimi szerzyć umie sposobami.

Co do twierdzenia, dotyczącego braku entuzjazmu w działaniach oświatowych dzisiejszej doby, nietylko dowodzić go trzeba, co szukać na tę chorobę lekarstwa.

Czyby tym lekiem nie mogło być przeświadczenie, że, bez wyczerpanej pracy oświatowej całego społeczeństwa, długo jeszcze grzęznąć będziemy w tym stanie pół snu—pół jawy, do którego najlepiej przyrównać można współczesne nasze polskie życie,

a z którego nikt nie jest zadowolony... długo jeszcze nie zbudzimy się w pełni sił do wielkiego europejskiego i światowego trudu.

Mamy przed sobą wielkie i szczytne zadanie stworzenia odrębnej polskiej kultury, wyciśnięcia naszego piętna na duchowych pracach ludzkości. Mamy w świecie odegrać wielką rolę, powiedzieć ludom ważne, polskie słowo.

Do zadania tego przystąpić nie można dopóty, dopóki wlecemy za sobą ten łańcuch analfabetyzmu, ciemnoty, zacofania, dopóki należymy do najniżej kulturalnie stojących narodów Europy.

Dlatego to praca oświatowa jest dziś równie ważnym i palącym zadaniem, jak było przed wojną. Dlatego tak samo warto zapłonąć do niej ogniem entuzjazmu i poświęcenia.

C. r.

C. W A L E W S K A

ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

(OD PÓŁDZIEWIC DO CHŁOPCZYCY)

Feljetony Cecylii Walewskiej „Zróżniczkowanie typu kobiecego po wojnie” — otwierają cykl artykułów objętych wspólnym tytułem: „O kobiecie dzisiejszej — Głosy Kobiet”. W dalszym ciągu drukować będziemy, zapowiedziane w prospekcie artykuły K. Poklewskiej, Koziellowej, Z. Grzymałowskiej, i W. Pełczyńskiej.

Na jakieś dziesięć, czy piętnaście lat przed wojną, padła w tłum głośnie powieść Marcellego Prévost’a „Les demi—vierges”. Zdawało się, że anarchja obyczajowa doszła tu do zenitu i większego zepsucia nie będzie już na świecie. Tymczasem—nie tak dawno, już po wojnie, narobiła wrzawy „Chłopczyca” Wiktora Margueritte. Skok na bezdroża, w których ginie dekalog przykazań, sens wytrenowanej przez wieki powściągliwości wstydu kobiecego i jądro bytu społeczeństw—rodzina.

„Półdziewice”—pièce à thèse—zostały napisane z myślą obrzydzenia tych gniazd zepsucia, gdzie chodzi o pozory tylko.

Wolno uprawiać bezwstyd, ale do pewnych granic i w zamkniętym kółku jedynie. Półpanny trzymają na wodzy namiętności swoje dopóty, dopóki wymaga tego ich osobisty, czysto materialny interes. Kochanek—piękny, młody, obiecujący, ale... biedny—niech czeka...

Niema dla półdziewicy tajemnic zmysłowych. Wie wszystko, mówi o wszystkim, lubuje się w najskandaliczniejszych, najdrastyczniejszych anekdotach, opowiadaniach, przeżyciach. W stosunku do mężczyzny jest bezwstydna i sprośna. Jednak—wychodzi z salonu, gdy starsze panie rzucają dwuznaczniki, lub gdy five o’clockowy repertuar obejmuje „sensacyjne kawałki” jakiejś gwiazdy kabaretowej.

Pozory wstydlivosti muszą być zachowane do chwili zdobycia męża — parawana. Rozumie się — bogatego, utytułowanego, śmiertelnie zakochanego prowincjała, który w Paryżu znalazł się, jak w pu-

łapce, i nic nie wie, nic nie rozumie, ślepo wierzy wymarzonemu ideałowi.

W powieści Pévost’a chytróść przemądrzałej półdziewicy zostaje ukarana. Triumfuje wieś, niezakazana obłuda. Czyste, jasne przestworza, które dla uczuć ludzkich są, jak oko sumienia.

Więc, w zasadzie, utwór moralny. Nie odebrano autorowi Legji honorowej, jak w kilkanaście lat potem jego koledze. A może jej nie miał?...

Głośny protest obudziła „Chłopczyca” Wiktora Margueritte. Wiemy o potępieniu go przez społeczeństwo francuskie, rząd i akademię. Wiemy, jak usilnie bronił towarzysza pracy Anatol France, i z jaką pasją odpiął stawiane sobie zarzuty on sam. Ale wiemy także, jak niezliczoną ilość wydań miała sensacyjna „La garçonne”, tłumaczona na wszystkie europejskie języki. Jak potężnymi mackami wpływu objęła stary i nowy świat. Jak odbiła w sobie najwyużdańsze otchłanie zepsucia, najpotworniejsze w cynizmie swoim kodeksy towarzyskie wielkiego świata paryskiego, najobrzydliwsze zlekceważenie kanonów czystości obyczajowej, w której ćwiczy się ludzkość — pewien jej odłam, przynajmniej — od wieków. A to wszystko, niby pod hasłem torowania drogi prawdzie. Bo „Chłopczyca” ma być przeciwstawieniem półdziewic w ich krótkim ewolucyjnym rozwoju.

„Demi—vierge” skrzepla, zmęźniała. Przestała szukać w mężu jedynej drogi wyzwolenia. Zerwała z obłudą i z konwencjonalizmem pustych form. Dlaczego ma stawać w pół drogi namiętności swoich? — Dlaczego nie ma szaleć, jak mężczyzna i pić ze wszystkich czar najlubieżniejszych uciech zmysłowych? — Dlaczego mąż ma być jej parawanem przy poznawaniu orgii życiowych? — Ona, jak mężczyzna, chce wyszumieć za młodu i, jak mężczyzna, stworzyć ognisko rodzinne wtedy dopiero, kiedy wypróbuje narkozy wszystkich najdrastyczniejszych upojen.

Półpanna kłamała. Chłopczyca—nie. Półpanna depcze miłość dla zdobycia fortuny przez t. zw. „szczęśliwe“ małżeństwo. Chłopczyca widzi punkt oparcia tylko w samej sobie. Fanatyzm umęczynienia dochodzi do tego, że nie chce dać ojca ślubnego dziecku swemu, bo nikt prócz niej, która je zrodziła, nie ma prawa do niego.

Więc przewrót na całej linii? Więc olbrzymi krok naprzód w stworzeniu nowego człowieka?

Zakłamał się Margueritte na śmierć, wmawiając w czytelnika, że mont-martrowskie obrzydliwości nie kalają „czystej“ rzekomo duszy jego bohaterki. Czy sta, naprawdę czysta dusza nie wytrwałaby dnia, godziny w kałuży, po przez którą szuka „La garçonne“ „pięknej“ miłości.

.....

Ruch emancypacyjny z końca 19 w. żądał zrównania mężczyzn pod względem czystości płciowej. Chłopczyca wyzwala kobietę z więzów podwójnej moralności w myśl hasła: „celibat dziewcząt powiększa liczbę prostytutek“. Taka jest zdobycz wstrząsu rewolucyjnego w rozrywanej książce. Zwalona wertherowska dewiza półpanien „jedyne szczęście—oszustwo“. Na gruzach jej—ołtarz anarchji.

W próżniaczym, rozbawionym, bezmyślnym świecie snobów, o przytępionych zmysłach i mózgowo wyrafinowanych porywach, są półdziewice dziś, jak były wczoraj. Chłopczyca zdarza się rzadziej, bo jednak—walka z opinią niebezpieczna.

Ale jest po za tym światem inny — mówczy, pracą zniewolony. Biuralistka—półpanna, bywa w nim. Ale to nie reguła. Chłopczyca — pozór najczęściej. Krótkie włosy, spódniczka po kolana, papieros w ustach, rakiety dwuznaczników, swoboda, pewność siebie. Ostateczne konsekwencje—rzadkość. Ale dla chłopczy i dla półdziewicz biurowych zasadzką — moda. Kapelusz, palto, bucik sezonowy na raty. Trzy czwarte pensji pochłaniania dług. Żywi się byle czem. Chudnie, Choruje. W końcu — otchłań.

Ale to też jednostki, które były i będą—zawsze, wszędzie.

Na jałowej pustyni umęczynionej chłopczy nie kończy się ewolucja kobiety współczesnej. Wytrysnęły po za nią źródła krzepkiej, żywiołowej siły i jakichś radosnych objawień. Wstał naprawdę mocny,

dzielny człowiek, który nie ma czasu na wyrafinowania miłosne. Kocha szczęśliwie, lub nieszczęśliwie. Cierpi, lub ma chwilę radosnych uniesień. Jednak nie to, nie pogoń za narkozą wrażeń, za szalem wszelkiego poznania jest jego światem.

Nie pod hasłem umęczynienia wyszły z podziemi nasze „siłaczki“, żeby wprost od elementarzy w zakazanej szkole rzucić się w bój za wolność ojczyzny. A potem stanęły przy urnach wyborczych i same przyszyły do głosu—senatorki, posłanki, radne. Otworzyły się na ścieżaj wrota wszystkich zawodów. Z krótko przyszyżonymi włosami, lub nie, przyjmuje obywatelka państwa, ten nowy czynnik społeczny, odpowiedzialność za wszystkie prace swoje — lekarz, adwokat, profesor, kierownik firm handlowych, prokurent, lub, zaorana od świtu do nocy, gospodyni, której pracę domową, do niedawna zlekceważoną, nauczyło się cenić społeczeństwo.

Rozmachem, odwagą, stanowczością i poświęceniem zrównały się nasze dzisiejsze kresówki z wielkimi niewiastami 16, 17 i 18 w., które stały na straży dóbr swoich, gdy mężowie, bracia, ojcowie bronili kraju przed wrogą nawałą.

Pojedynczo i zbiorowo wniosły w kulturę wszystkich krajów „siłaczki“ powojenne ten żywioł estetyki i pracy, którego wymagał ruch kobiecy ostatniej doby. Nie za mężczyzną, nie jak mężczyzna, ale obok niego. Równa mu, lecz dająca nowe wartości odmiennej psychiki swojej. Prawe, czyste, obowiązkowe, nie sprzedajne, dbające o piękno i kulturę otoczenia swego takie tylko pionierki spotykamy dziś na stanowiskach naczelnich.

Podkreślam—naczelnich. W sumie jest ich nie wiele. Ale te, już zdobyte, stanowią wielkie zwycięstwo kobiety współczesnej.

Nie przez protekcję osiągnęła je. Nie przez wdzięk, flirt, urodę — drogą, otwartą szeroko dla kandydatek do X, a, w najlepszym razie, IX, VIII kategorii. Na stopniu referenta utrzyma się tępy mężczyzna o ile ma plecy za sobą. Kobieta—nie. Bo jednak—mimo pełni konstytucyjnego równouprawnienia—bojkot pracy „białogłów trwa. I walka o byt — harda, zacięta, nierównomierna.

Tężeje w niej dusza kobieca i — różniczkuje się. I niekiedy rozpala głodem wrażeń chłopczy.

Ale o tem w następnych rozdziałach. C. Walewska.

HELENA CEYSINGERÓWNA

2

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(O p o w i e ś ć)

II

Nazajutrz, panna Leokadja Grudzińska zbudziła się koło południa.

W domu była cisza.

Służba znużona spała jeszcze.

Dzień styczniowy wstał posępny jakiś i chmurny. Przez wielkie okna drzwi werandowych widać było ubielone szronem konary drzew parkowych; zwisały ciężkie, niby ręce śnieżnych olbrzymów z północnej baśni. Nad niemi i wśród nich leżało jakieś sine oczekiwanie.

Lotka, leżąc, myślała: najpierw, o tej kochanej Laleczce... Nareszcie, nareszcie uśmiechnęło jej się życie! Biedne cudeńko! Tak nazywała ją Lotka, i tak ona sama mówiła o sobie, kiwając smutno małą, skłopotaną główką. Dzieckiem była prawie, gdy wydano ją za starca, nie bacząc, że od lat paru drobna pensjonareczka kochała się w pięknym kuzynku Guciu, idealnie wszystkich swoich koleżanek. I długi czas smutno było i beznadziejnie, a teraz szczęście obejrzało się nagle, poznało ją i dało się przycisnąć do serca.

Przypomniała Lotka wczorajsze subtelne wydziwiania starszych pań, uszczypliwy uśmiech ciotki Idalii.

Dlaczego ludzie tak nie lubią cudzego szczęścia? I właśnie żalują go jej, tej małej kobietce, co go nie zaznała dotąd, a zaznała napewno przymusu, tęsknoty, pustki serca. I mimo to nie skarżyła się nigdy, będąc starcowi do śmierci córką miłą, pogodną, uprzejmą zawsze; rozjaśniała mu ostatnie lata życia...

Czego chcą od niej?

A taka przytem ładna, wróżka maleńka!...

Panna Leokadja uwielbiała urodę macochy. Siebie uważała za brzydką w porównaniu z tą złotawą blondyną, o wielkich, ciemnych oczach i ustach wiśniowych, bledziutkiej cerze woskowej laleczki i promiennym uśmiechu dziecka. Przeżyły z sobą lat kilka za życia ojca i potem... a nigdy nie było między niemi najłżejszej nawet sprzeczki. Teraz Lotka cieszy się z całego serca, że temu biedniatku jest dobrze, że oto jedzie sobie z ukochanym człowiekiem w świat daleki, piękny, nieznan. Niechże jedzie! Niech ma swój dzień słońca!

A starym złośnicom na — pohybel!

Tym energicznym okrzykiem wewnętrznym zakończyła panna Lotka myślenie swoje o macosze.

Potem wzięła ręczne lustro i zaczęła się przypatrywać sobie.

Śmieszna ta ciotka Idalka!

Przez przywiązanie do niej i jakiś rodzaj rodzinnej ambicji twierdzi, że ona, Lotka piękniejsza jest od Laleczki: że wysoka, rasowa.

Wysoka! — to prawda! Aż za wysoka!

Rasowa?... może... ale ten rasowy, ze szlacheckim garbem nos jest o wiele za duży, niestety! a usta, no usta są młode żywe, czerwone, ale także za szerokie. Uśmiechają się dosyć miłym i trochę smutnym uśmiechem. Doprawdy jej samej niewiadomo, dlaczego ten uśmiech jest zawsze prawie trochę smutny.

Czoło ma białe, ale znów trochę za wysokie, cerę jasną, o żywym, aż za żywym rumieńcu. Najwięcej warte są ręce drobne i białe, jak lilje, no i oczy... „morskie“, mówi ciotka. Rzeczywiście są bardzo zmienne, tak, że niewiadomo, jakiego właściwie są koloru i w dodatku czasem wyjrzy z nich coś dziwnego... jakaś głębia... tajemnica... to wtedy, kiedy ją coś mocno poruszy. Na miejscu Artura bałaby się takich oczu, ale on tego, naturalnie, nie widzi. Jest jedna osoba, która ma podobne spojrzenie... to Ksenia-Szucka, Ksenia czarownica... młoda i wcale przystojna wiedźma! Panna Lotka rozśmiała się wewnątrz i ubawiona odłożyła lustro.

Poczęła teraz myśleć o Arturze. Jak się ten chłopczyna do niej przywiązał! Jednego dnia bez niej nie wytrzymał! Jednego kroku nie zrobi, żeby jej nie spytał o zdanie! Uwierzył, niewiadomo dlaczego, w jej rozum...

A ona żadnego rozumu nie ma, a jeśli nawet ma jakiś wewnętrzną wolę, natchnieniem, czy jak nazwać taki głos, który mówi zawsze bardzo stanowczo: tędy! tak! nie! ani kroku dalej! I dlatego Lotka się o nic w życiu nikogo nie pyta! Zawsze wie sama! I nawet nie mogłaby inaczej!

A Arturek się wciąż pyta i pyta, i zawsze niepewny, wahający... Dlatego to, może, Lotka ma czę-

sto wrażenie, że Arturek jest od niej młodszy, choć naprawdę, to ona ma parę lat mniej od niego.

Z tem wszystkiem Arturek jest bardzo miutki i taki swój, bliski! Znają się od dziecka, nawet mówią sobie „ty“. Lotka bardzo lubi tego chłopca. Żeby tylko nie był taki posłuszny swojej mamie! No, ale dobry i jasny, i swój!...

Czy to jednak z jej strony jest miłość?

Laleczka zupełnie inaczej kocha swego Gucia, tak jakoś wyłącznie, namiętnie, tak po kobiecemu... Ciocia Frania mówi, że ona „świata za nim nie widzi“. To prawda, Lotka, zauważyła, że Laleczka myśli jego myślami i czuje jego sercem.

Ale Lotka tak nie potrafi i ani dla Artura, ani pewno dla nikogo na świecie nie przestanie być sobą. Bo jakże?...

A swoją drogą, Arturek jest kochany...

Gdy panna tak wrażenia i przeżycia ostatnich dni nawiązuje na cienką nić myśli, w domu tymczasem poczyną się ruch: skrzypnęły gdzieś drzwi, trzasnęła zapalka — to Jan rozpala w piecach; słychać czyjeś stąpania, brzęk szkła — sprzątają po wczorajszej uczcie; ktoś cichym krokiem zbliża się do jej drzwi, to Justysia zagląda przez dziurkę od klucza, czy panienka się już zbudziła... Potem kroki się oddalają i znowu cisza...

Lotka na chwilę jeszcze przymknęła powieki, w tem krzyk, płacz! od izb czeladnych ku jej pokojom! Co to? drzwi zrywają się z trzaskiem i do sypialni panny wpada wiejska dziewczucha, pokrwawiona na twarzy, z dzikiem, obłąkanem spojrzeniem... Za nią przerażone twarze służby!

— Co to?

Dziewczyna z rykiem nieludzkim rzuca się na podłogę przy łóżku dziedzićki.

— Co się stało? Kto to? — woła Lotka, zrywając się z pościeli.

Od podłogi unosi się twarz łzami i krwią zlaną, z siną pręgą przez czoło.

— O panienka nasza — lka dziewczyna — przyjechali od rana naczelniki, przyjechali na koniach kozaki i kazujom ludziom podpisać się na prawosławie, a że ludzie nie chcom, to jeich rozciągojom na śniegu i bijom, panienczko, do śmierci bijom! O Jezus, Jezus! Ratujże ty nas panienko! Mojego tatula zbili, co ledwo zipie, Matusowom zbili na śmierć i Marciniakowom, i starom Strzeleckom, co jem do oczu skakała, a teraz wzieni mego Jędrka męczyć, bo się ujon za matkom i z pięściami do naczelnika przyskoczył, to już nie mogłam strzymać i przyleciałam... Oni mi go zamęcom, panienko, — wrzasnęła nagle i zerwawszy się z klęczek wybiegła z sypialni. Z krzykiem „oni mi go zamęcom“, gnała przez wszystkie pokoje, nie zamykając drzwi za sobą, aż do sieni i na drogę, ku wsi z powrotem.

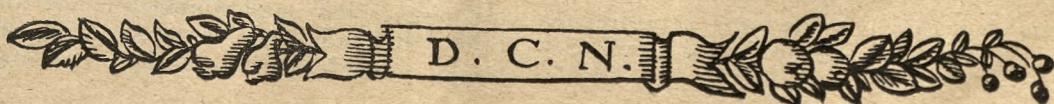
Lotka bosami nogami wyskoczyła na podłogę. Mróz ją przeszedł. Przeszedł ją mróz od wierzchołka głowy do stóp, a potem war krwi buchnął do twarzy.

— Dawaj sukienkę! prędko! Drząc cała od straszliwego, wewnętrznego chłodu, ubierała się pospiesznie. ...mówiono już dawniej... chodziły słuchy...

— Sznuruj, buciki!

— Prędzej!

— Futro!



ANNA SŁONCZYŃSKA

SPOTKANIE Z SAMARYTANKĄ

Spotkali się przygodnie — tak jak się to zdarza codziennie —
przy studni, w samo południe, poza bramami miasta:
On — w Samarji nieznajomy cudzoziemski przechodzień
i ona — samarytańska najzwyczajniejsza niewiasta.

Spojrżeli na siebie machinalnie — i zaraz ona,
wiedząc, jak Samarytanami pogardzają Żydzi,
samą swoją obecnością już jakby zawstydzona
spuściła głowę, udając, że Go wcale nie widzi.

Poprosił o wodę. Nie wzniosłszy powiek, prośbę z dreszczem
spełniała, myśląc, że wstręt swój zwalczył picia ochotą.
Ale — został. Podniosła oczy: na cóż czekał jeszcze?
I pojęła, że chodziło Mu jednakże nie oto...

Zaczął rozmawiać. Zrazu jasno: o życiu realnem,
to jest o wiadrze z tą wodą, którą ona nosiła —
potem — mglisto: o jakimś swoim wiadrze niewidzialnem,
pełnem innej wody, wody w której jest — życia siła...

Wreszcie — poprostu o niej. Więc myślała, że Go trzyma
swoją urodą. Lecz nie: spoglądał na nią, jakgdyby
miała ciało ze szkła, i jakgdyby przez nie oczyma
chciał zajrzeć w głąb, jak się do mieszkań zagląda przez szyby.

A mówił wciąż. Czasem przerwała Mu jaką uwagę,
czasem milczała — w skupieniu, we wstydzie, w strachu, w męce.
Zdawało jej się, że z ciała — grzeszną jej duszę nagą
wyjmuje słowami i w słowa te chwyta, jak w ręce....

Łamały ją, lecz nie odeszła: dygocąca cała
czuła, że musi do końca Go słuchać nieprzerwanie,
i że z czasem — kiedy zamilknie już — będzie musiała
zadać Mu jeszcze o Niego — najważniejsze pytanie!

I zamilkł. Lecz — nie odważyła się. Oboje niemi
patrzyli w przestrzeń, jakby mierząc między sobą przedział.
Ona drżała, jak liść, nie czuła słońca ani ziemi.
Aż się wzruszył. Wszak przyszedł do głodnych prawdy. Powiedział — — —

.....

O Słowa! Świat w jej oczach drży, niby dom od pioruna,
południe gaśnie, jak świeca wśród błyskawic lawiny —
a ona — ucieka ku miastu: gorejąc, jak łuna,
biegnie zapalać wszystkich swoich — płomieniem nowiny.

PANI

(Dokończenie)

Stałem czas jakiś zdumiony, nie wiedząc, co czynić dalej. Wówczas dama, odsuwając palcami po dwa papierosy i naliczywszy ich dziesięć, wskazała ręką, że są dla mnie.

— Dziękuję — rzekłem — nie palę.

— Nie palisz? — spytała i, jakby w niezadowoleniu, pokiwała czepecem. — Wódkę pewnie pijesz?

— Nie, nie piję.

Stara wlepiła we mnie blado-niebieskie oczy i przestała robić papierosy.

— Widać pieniądze bardzo lubisz, to najgorsze — rzekła, i — oblicze się jej wyciągnęło.

— Możebym je i lubił, gdybym je miał — odpowiedziałem, śmiejąc się, gdyż rozmowa z panią Turdwojnową zaczynała mnie bawić.

Ale staruszka zamilkła. Po długiej dopiero chwili coś jakby bardzo dawnego przypomniała sobie, podniosła brwi i, nie patrząc na mnie, pańskim ruchem ręki wskazała mi krzesło. Przysunąłem niski stółek, pokryty wytartym adamaszkiem, z którego jeno grube pozostały nici, i usiadłem.

— Dawno tu jesteś? — zapytała.

— Przyjechaliśmy dziś w nocy.

— Nie słyszałam. Stukałeś?

— Nie, nie stukałem.

— A gdzieżeś spał?

— W oficynie.

— Razem z żołnierzami? Mogłeś przecie nocować we dworze.

— Nie chciałem pani niepokoić — rzekłem z galanterją.

— Hm, prawda — rzekła — że tu, prócz tego dzieciucha, nikogo niema... No i cóż — pytała — długo wy tu będziecie?

— Nie wiem.

— I ty też nie wiesz, i nikt nie wie... Bo kogóż tu nie było! Kogo nie oglądały te ściany! Szedł moskal w jedną stronę — nic nie ruszył, a było, kochanku, co wziąć wtedy: z dziada-pradziada każdy tu coś dodał, a nic, prócz kontusza, do trumny z sobą nie wziął. Ot, ta szifonjerczka — rzekła, wskazując pustą z potłuczonymi szybami szafkę — do niedawna stała jeszcze cała. Same tam były pamiąteczki po ojcu, po dziadku, po wszystkich dziadach, aż do Zygmunta króla, bo on to ojca rodu naszego tu osadził... Ot, szedł moskal w jedną stronę — nie ruszył, wracał — nie ruszył. Przyszedł Niemiec, wziął konie i zboże, ale szifonjerki jakoś nie dojrzał. wyszedł i nic nie wziął. Aż przyszli swoi, każdy coś na pamiątkę z szifonjerki zabrał... „Bolszewik i tak weźmie, chłopci rograbiają” — mówili — „i tak przepadnie, lepiej, żeby w Polsce zostało”. W Polsce! A tu, to co? Ale Bóg bolszewika do gniazda ojców moich nie dopuścił, nie widziałam go, gdzieś widocznie stronę poszedł... wszędzie byli, a tu nie byli, choć ich się wszyscy spodziewali. Nie bardzom ja się też, powiem ci, kochanku, tą szifonjerką smuciła. Nie bardzo. Tyle już wzięli, niech i to wezmą, A przytem myślę sobie, szedł moskal — szifonjerka była, szedł Niemiec — była, ale

Polski, kochanku, nie było. To może, myślałam sobie, jak te pamiąteczki moje pomiędzy ludzi pójdą — Polska powstanie. Może to właśnie tak będzie... A ty tu długo będziesz stał? — zapytała powtórnie.

Nie mogłem jej już teraz z lekkim sercem powiedzieć „nie wiem”, więc, przywoławszy błogosławione kłamstwo, z całą pewnością siebie zawołałem:

— O, pewnie już zostaniemy, aż do podpisania pokoju.

— Ach, bo widzisz... tylu już was, swoich, tu było, a każdy niby na popasie, niby na biwaku w cudzym kraju. Ot, choćby niedawno — mówiła, gładząc ręką stółek. Przyszedł tu taki, jak ty, tylko w żółtych naszywkach, rozsiadł się, kochanku, sam rozsiadł, bom go nie prosiła, i powiada do mnie, rozumiesz? do mnie — dodała z oburzeniem: „A dużo tam, pani stara, masz tego tytoniu? Żebyś mi tak ze dwieście papierosów zrobiła, toby mi starczyło aż do samej może Bydgoszczy. Pięknieby ci podziękował. No, rób pani te papierosy”. A przez ten czas, com mu papierosy robiła, on, kochanku, wziął bagnet i tu na tym stoliku — widzisz, był naokoło wieniec srebrnych liści dębowych — liście te bagnetem powydłubował, zważył potem w rękę, czy ciężkie, i wyspał do kieszeni. Zgarnął też wszystkie papierosy i poszedł. A teraz ot, źle bez listków — dodała, zmiatając ręką stółek — tytoń się w te wydłubane miejsca nabija i nie można go stamtąd wydmuchać.

— Jakżeż to pani ten tytoń dotychczas przechowywała? — zapytałem.

— Jak? Bóg go „widać, osłonił. Mieszkał tu u mnie z dawnych czasów staruszek powstaniec. Stary był bardzo, umarł tamtej jesieni. Sto jeden lat miał, gdy umierał. Bardzo się tem pocieszał, że to tak ładnie będzie w klepsydrze — 101... Otóż ten staruszek wciąż mi powtarzał: „kup dobrodziejka dużo tytoniu i schowaj. Choćby kto z siekierą szedł na ciebie, a jak papierosikiem go poczęstujesz — podobrzeje. Miałam ja też tego tytoniu dość i nie takem go bardzo chowała, a nikt nie znalazł, Bóg, widać, osłonił. I jak, kochaneńku, posłyszę rozruch na dworze — taki już ustalił się u mnie zwyczaj — zaraz się do papierosów zabieram. Ale już niedużo mi tego tytoniu zostało: raz-dwa zrobię i koniec — niema! Widocznie już nie trzeba będzie, coś się już pewnie odmieni... To napewno wiesz, że tu już zostaniesz? — raz jeszcze zapytała pani Turdwojnowa i badawczem spojrzeniem mądrych i pięknych niegdyś oczu popatrzyła na mnie.

— Tak, zostaniemy — odpowiedziałem.

Ale ton mojego głosu nie był, snadź, przekonujący. bo staruszka westchnęła, machinalnie w dwa palce nabrała tytoniu, ale go wnet odsunęła, a zwracając się do mnie, rzekła:

— Jeść chcesz?

— Żołnierz nigdy się od jedzenia nie odmawia — odparłem, chcąc pani Turdwojnowej zrobić przyjemność.

— Andzia! — zawołała na małą — wysuń-no kaszę z pieca. Widzisz, kochanku, niczem cię przyjąć nie mogę, jak tylko kaszą gryczaną. Bo jak tu Niemiec

Litwę zajmował, wszystko brał, tatarka mu tylko nie smakowała, to też na rok następny całą Litwę tatarką ośieli. Nie miałam już wtedy ani konia, ani parobka, ziemię oddałam ludziom w dzierżawę. Ale taka to tam dzierżawa! Jaki-taki tylko Boga ma w sercu i garnczek tataraki przyniesie...

W tej chwili Andzia w obudwu rękach z wysiłkiem wniosła garnek z kaszą, znikła raz jeszcze za drzwiami i wróciła z nadtłuczonym barwnym, z saskiej porcelany talerzem w chudej i czarnej rączynie. Przyniosła pani Turdwojnowa talerz ku mnie, a wyjąwszy z kieszeni czarnej, wytartej sukni srebrną łyżkę, dodała:

- Ostatnia. Jedz, kochanku.
- A pani nie je? — zapytałam.
- Jedz, jedz — rzekła surowo.

Wziąłem więc srebrną łyżkę z cyfrą i koroną i jadłem czarną, pełną ostrej plewy, zimną i bez omasty kaszę. Gdy skończyłem, Andzia umyła i z powrotem przyniosła łyżkę, którą pani Turdwojnowa ukryła znów w fałdach wyszarzanej sukni.

Całe dwa tygodnie staliśmy na tej placówce. Co dzień przychodziłem do pani Turdwojnowej na czarną kaszę i wieczorne rozmowy przy małym—bez szkła—kaganku. Andzia, trzymając się odrzwi chudemi, jak kijki, rączkami, wystawiała swój smagły pyszczek i błyskała czarnymi, jak u myszki, oczkami. Nie pozwalała mi pani Turdwojnowa iść spać do oficyn.

— Po co się masz tam pospolitować razem z prostakami, kiedy możesz spać we dworze — mówiła, ilekroć żegnałem ją na dobranoc.

Gdy zostawałem na noc, robił się wielki ruch w tym „dworze“. Andzia po nie wiem ile razy przebiegała pokój, to niosąc na kawałku blachy czerwony węgiel do rozniecenia ognia, to dźwigając dwakroć większą od siebie poduszkę w czerwonej jedwabnej popękanej, jak od cięcia szabli, powłoczce, to wreszcie, chowając się cała pod fałdami atłasowej kołdry, z której brudnymi strzępami zwisała wata.

Głośne trzeszczenie płonących na kominie gałęzi oznajmiało, że pokój mój gotów. Składałem wtedy ukłon pani Turdwojnowej i szedłem do salonu na nocleg.

Straszny to był ów „salon“, w którym kładziono mnie spać. Przy ogniu, pełgającym od dołu, rozwierała się rozpaczliwie ogromna kanapa, na którą Andzia ową poduszkę i kołdrę rzucała. Daleko—z mroków pokoju wysuwał rzeźbione poręcze wysoki fotel z wyrwanym siedzeniem, bliżej chyliło się, podparte obszarpanym krzesłem, staroświeckie biurko, a nad niem białkami oczu i czarną linią ramion rysował się jakiś stary, pociemniały portret. Ale najboleśniejszy był fortepian: z zerwanym blatem i potarganymi strunami leżał bez nóg na ziemi, niby odkryta trumna, w którąby każdy mógł bezwstydnie zajrzeć. Coś jednak żyło jeszcze w sponiewieranym tem ciele, jakieś było między skrzypiącymi taflami starej posadzki, a resztką niezerwanych strun, porozumienie: gdy niebacznie nadepnąłem jedną taką taflę—wnet cichutkim, żałosnym jękiem odpowiadał fortepian. Ostrożnie, na palcach i z daleka, jak dokoła zmarłych, obchodziłem fortepian i już od progu wybierałem głuche, nie-

skrzypiące taflę. Mało też spałem na tej kanapie. Przywykły do gwaru i ruchu, do jednostajnego szmeru gryzionego owsa, do zapachu skór i koni—budziłem się co chwila w tej ciszy.

Nasłuchiwałem, czy nie jęknie żałosnie zardzewiała struna, wpatrywałem się, czy w chwiejnym świetle kominka nie skrzypnie pod dziwną jakąś postacią podłoga... Ale rano pani Turdwojnowa witała mnie zawsze wdzięcznym spojrzeniem, wydobywała z kieszeni ostatnią srebrną łyżkę i częstowała kaszą. Zostawałem więc na noc, ilekroć mnie o to prosiła.

Minęło tak dwa tygodnie. Pamiętam, od rana przy mrozie sypał i kręcił drobny i ostry, jak szpileczki, śnieżek. Na folwark wjechało dwu zaśnieszonych ułanów i przywiozło mi rozkaz, abym się natychmiast cofał, gdyż w południe folwark zajmą już Litwini.

Oszołomiony tą wiadomością, nie mogąc się na nie zdecydować, laziłem czas jakiś po dworze. Wreszcie, przemógłszy się, i już machinalnie, jakgdyby to nie ja, lecz kto inny tej przykrej rzeczy miał dokonać, zawałem Szałowicza i wydałem rozkaz. Sam zgnębiony, ogłupiały, jakby z poczuciem winy podszedłem do dworu.

— I jak ja jej to powiem, jak powiem? — myślałem z rozpaczą, a nogi same niosły mnie precz ode dworu do pełnych krzątany i gwaru oficyn. Raz wraz wypadali z izby ułani, nieśli płaszcze, plecaki, siodłali konie. I nikczemne, obłudne tchórzostwo, nie odepchnięte, lecz jakby mile w duszy widziane, szepnęło: „Możesz wyjechać i nic nie mówić. Jesteś żołnierzem, masz spełnić rozkaz, i nic cię pozatem nie powinno obchodzić. Wyjdziesz i nie zachodź!“ Ale wiedziałem, że tak nie zrobię. I cóż będzie? — myślałem raz jeszcze z rozpaczą. I naraz słodkie spłynęło złudzenie: a może co się jeszcze zmieni... za pół godziny, za godzinę przyjdzie może inny rozkaz... I mimo całą śmieszność tego przypuszczenia, gorąco się go chwyciłem. Śmiało zawróciłem do oficyn. Ułani wyprowadzali już posiodłane konie, za chwilę gotowi będą do drogi. Co robić?

— Panie poruczniku—zawałał Wąsik, zastępując mi drogę—świeża i ciepła żydowska gazetka do owinięcia nóg. Tęgo dziś szczypie.

I jak gdyby owa gazetka była właśnie tem, na com czekał, pochwyciłem ją, wpadłem do izby, ściągnąłem buty, nogi owinałem w papier, poczem szybko i rażno ruszyłem ku dworowi, pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Pani Turdwojnowa siedziała na zwykłym swem miejscu przy stoliku, a na kolanach trzymała nieznaną mi jeszcze szkatułkę. Pożółkłe w niej listy i papiery przyprószył tytoń — snadź w tych samych, co i on tajemnych przebywały miejscach. Dawno zapewne nie zaglądała do tej szkatułki stara pani. Serdeczne, już tylko jej jednej wiadome, wyrzały z niej wspomnienia...

Gdy wszedłem, zamknęła ostrożnie szkatułkę i z kolan przestawiła na stół. Stałem chwilę nad nią, nie pomnając, czegom tu przyszedł, i nagle... ten zmięty czepiec, te starcze ręce stały mi się tak bliskie, tak dawno w troskach swych ze mną żyte i tak żałosne, że, jak skruszony dzieciak, gotów byłem rzucić się jej do nóg i spląkanę



oczy ukryć w fałdach starej, wyszarzanej sukni. Stałem wciąż nad nią, nie wiedząc, co mam począć. Wreszcie, jak głupi sztubak, jak idjota, obojętnie bąknąłem:

— Czy pani ma jeszcze tytoń?

— A co? — zdziwiła się staruszka.

Napół przytomny, nie wiedząc, co mówię, brnąc w nieznaną mi dotąd okrucieństwo, palnąłem:

— Niech pani robi papierosy. Wychodzimy.

I, jak oszalały, zawróciłem na miejscu i wypadłem ze dworu.

Na podwórzu pluton już był sformowany, ułani siedzieli na koniach. Wąsik podprowadził mi Gwiazdkę. Wskoczyłem na siodło i dziwnym jakimś, nie swoim

głosem wydałem komendę. Wolno, czwórkami, czerwiejąc ruchomą masą wśród białej przestrzeni, wyjeżdżali z folwarku ułani. Już pierwsza, już druga czwórka skręciły za stodołę, skręciła już ostatnia. Czegoś się jeszcze wahałem, na coś, zdało się, czekałem...

Ściągnąłem konia i ostrożnie podjechałem bliźutko pod okno.

Pani Turdwojnowa siedziała na tem samym, co zawsze, miejscu, twarzą ku światłu; ręce jej jednak żadnego nie wykonywały ruchu; wsparte na szkatułce, dłońmi złączone ze sobą, zastygły, znieruchomiały, jakby już wieczną zadumą.

Ścisnąłem konia, dopędziłem pluton.

MARJA KUNCEWICZOWA

NIEZŁOMNE KSIĄŻĄTKA

(Syberyjskim dzieciom)



tym samym czasie, kiedy Osterwa na podwórzu podchorążych odgrywał Księcia Niezłomnego, widziałam w Gdyni gromadę niezłomnych książątek.

Dziewczynki w tęczach z samodziła i bosonogie skauty.

Chodzili, bębniąc, od domu do domu, prosili ludzi na przedstawienie. Padał deszcz, na wieży ciśnięć wiatraczek czynił złowrogie harce i morze drżało, jak skóra chorego zwierzęcia. Jednak dzieci twierdziły, że zaraz będą tańczyć: na placu przed Kaszubą spokojnie ustawiano krzeselka.

Jakoż — po kilku spazmach — słońce ukazało twarz jaśniejszą od uśmiechu pasjonatki; ze schodów tarasu zeszedł pierwszy pan w białych flanelach, nieufnie zerkając ku niebu.

Otóż, zanim pan ten zdążył do końca naznaczyć alejkę śladami swoich podeszew — w rogu placu zawisły na sznurach setki kolorowych szmatek: małe ręce rozpinały wśród gałęzi świadectwo własnej roboty. Na tle z liści zakwitły ogromne krzyżkowe hafty — dzieło maleństw, i rozsypały się kurzawą barw drobne arcydziełka panien. Obok na stole, slöjd spiętrzył kanciaste wdzięki — chłopcy z czułością wysuwali na front sztuki co okazalsze, pilnie bacząc na symetrię.

Tymczasem orkiestra zasiadła w muszli; na krzeselkach poczęli mościć się państwo w gumowych płaszczach. Choć słońce znowu uciekło za firankę i tam płakało ze złości, aż łzy leciały na piasek — „przedstawienie” zdawało się niewątpliwe.

Istotnie — „niezłomni” obciągnęli bluzki i, kłaskając bosymi stopami, równali szereg. Były to narażone niezłomne kurczęta — dzieci sześć i siedmioletnie. Pan w płóciennym ubraniu zawołał „Danusia, ton!” — i zaraz cieniutki głos rzucił nutę, a dzieci tupnęły siarczyście i z nuty wyciągnęły melodię, jak wstążkę ze szpulki.

Małe parczki dzieliły się i zlewały, snując na piasku jedną sieć — rytmicznych kroków, i drugą w górę — zuchowatej piosenki. Deszcz padał ciągle, więc publiczność pleśniała pod drzewami, podobna

z parasoli do czarnej kolonji grzybów. Przed jej oczami dzieci czyniły wdzięczną powinność ze zrozumieniem i brawurą.

Migały w przelocie jasne i ciemne włoski, wiązały się strofy w wesołe kokardy, i tupot nóg — niczem refren — wykańczał kadencję. Ani razu skrzydło nie zawadziło o skrzydło: syberyjskie ptaszki bez błędu wyhaftowały swój płas na mokrym piasku i w mokrem powietrzu. Pan skinął — pierzchły. Został ścieg trwały w sercach patrzących ludzi.

Ledwie maleństwa wsiąkły w las, z pośród buków wyciekła jaskrawa struga starszych. Dziewczyny już rozkwitłe, chłopcy niemal dorośli. Ten sam przodownik podał hasło zaczęły ćwiczyć. Panny wszystkie szły bosc, w pasiastych spódnicach, chłopaki ubrane po harcersku. Ruchy tej gromady, powolność rozkazom — zupełnie były dziecinne. Zwłaszcza kobiece stopki dreptały tak skwapliwie, że myślałeś: oswojone łasiczki. (Usta podlotków — jakieś cierpkie — przypominały jagody, które nie mogą dojrzeć w obcym klimacie).

Kiedy odrobiona została gimnastyka, marynarze odeszli, zabierając swoje trąby, klarnety. Na estradę wpłynęły pomarańczowe i zielone smugi.

Tym razem zmieniła się dyrekcja: jakaś młoda pani szepnęła słowo, a panny rozbiegły się wkółko. Niektóre stanęły samotnie, inne po dwie, po trzy utworzyły taneczne grupy. Na dany znak ożyły wszystkie w nowym kształcie: nie stało już zziębniętych blondynek, ani brunetek z upartymi oczami — prząśniczki, moniuszkowskie gracje, pilnie snuły nici. Wiersz zaszmętał (niczem wiejski strumień) rytmem bez kaprysu; podobne gołębiom lotkom, trzepotały się dłonie.

„Kręć się, kręć, wrzeciono! Pryśla wąta nic...”
Z gromady wybiegła dziewczyna, jak skarcona sarna. („Wstydem dziewczę płonie...”)

Gołębice furknęły z irytacją: „wstydz się, dziewczę, wstydz!!!”

Potem na środku estrady stanął chłopiec, wypreżony — rzekłbyś, krzyk, który z serca już sięga ku wargom.

„Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani?”
Tak pytają narzeczone, patrząc na ścieżkę, za-
haftowaną śladami podków.

Chłopiec z gestem Reytana rzucił się do stóp
„Pani” — dziewczyny ucichły, zdjęte bożym strachem.
I jeszcze jakaś idylliczna scenka; i jeszcze gó-
ralskie figlasy.

Wreszcie gędzba chóru stężała. Z lirycznej sa-
dzawicy wybiegły krótkie, zwarte fale.

„Marsz, marsz, Dąbrowski — z ziemi włoskiej do
Polski!”

Znowu dążą przed się uparte nogi.

„Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy
Polakami”.

Ten oficjalny frazes zabrzmiał, jak zwierzenie
duszy. Wśród ludzi — dreszcze patosu rozsypały się
kłującą ulewą. Stary pan zacisnął powieki, panie od-
wróciły głowy, jak przed silnym wiatrem, i sztaba-
kom drgnęły nozdrza.

„Marsz, marsz!” — kroki mężnieją, sypią się
w przestrzeń na podobieństwo żelaznych pereł.

W głębi podjum rozwinięto sztandar; na tle
z czerwieni zakwitła twarz sarmackiej Niki. Drobną
złotnicą („wstydem dziewczę płonie”), zniwiarka

i Janosikowa „kohanecka” — ta sama dzika gołąbka
stała przy chorągwi. Zaś wędrowcy, którzy z tajg,
z moskiewskich „pierieuków” i ze stepu dotarli już
byli na kaszubski piasek — szli ku Niej znowu przez
sierpniowy powszedni dzień.

„Co, nam obca przemoc wzięła — mocą od-
bierzemy.”

Niké wzniosła dłonie. Podczas, gdy rosły ręce
dzieci wyciągnięte do ślubów — na Jej palcu błysnął
piersień. Krwawy rodzinny piersień.

I tak stała na schyłku dnia ta chłopka z herbo-
wym sygnetem, dziewczynka bez nazwiska — Niké nie-
złomnych ksiąząt.

„Przedstawienie” dobiegło końca. Czempredzej
matki porwały się z krzeseł, nawołując dzieci. Pora
była czekoladowa i biszkoptowa. Gdzieś tam stygły
filiżanki, zaciągnięte pianą, kruszyły się na obrusach
kruche ciasta.

Niezłomni wrócili tłumem za swój wielobarwny
stragan. Kilkoro stało sprzedawać. Reszta śpiesznie
rozkładała ognisko. Po chwili do manierek, do obłu-
panych kubeczków rozlewano kawę. Ta kawa — go-
rąca i czarna — była bez cukru.



JÓZEF JANKOWSKI

2)

SZOPEN I PANI SAND

EMPIREUM PANI SAND. — PIERWSZE ZAWIĄZKI MIŁOŚCI

Dokumentami nielicznymi, wyświetlającymi pier-
wsze zawiązki miłości pomiędzy panią Sand i Szope-
nem, są:

1) List pani Sand do swej przyjaciółki, pani
Marliani, z datą 28 maja r. 1838;

2) list pani Sand do Grzymały, podany przez
W. Karenina w jego doskonałym studjum, p. t. Ge-
orges Sand (III, 44—53);

3) poniekąd list Balzaka do pani Hańskiej z datą
2 marca r. 1838;

4) karteluszek papieru, żółtkły i pomięty, nakle-
jony w dzienniku Szopena (ogłoszonym w wyjątkach
przez hr. Tarnowskiego w r. 1871), na którym śmiała
i zamaszystą ręką wypisane są słowa: On vous ad-
ore — Georges, niestety, (w pośpiechu miłosnym)
bez daty; i

5) wreszcie, wypisana ołówkiem data, do dzi-
siał zachowana: 18 Czerwca r. 1839, na ścianie
z lewej strony okna komnaty pani Sand w Nohant...

W październiku 1837 r. zerwane zostało narze-
czeństwo Szopena z panną Marją Wodzińską, po pię-
tnastu miesiącach spokojnego swego w oddali pącz-
kowania. Panna piękna, lecz, nawiasem mówiąc, ba-
nalna, jak to jej listy do Szopena okazują, panna,
która niedawno jeszcze słała Szopenowi ciepłe pan-

tofle, prosząc, by dbał o swe zdrowie, snać wraz
z rodzicami przysłała po namyśle do wniosku, że le-
pszy jest, jednak, pewny dobrobyt od najpewniejszej
chociażby sławy. Skutkiem tej przezorności życiowej
było odesłanie Szopenowi pierscionka¹⁾.

Szopen związał paczkę jej listów, napisał na
niej: Moja bieda, i pochował ją w szufladzie.

Swoją drogą, nie sędzę, by zerwanie to miało
być ciosem ciężkim dla serca Szopena: w sercu
tem nie było namiętności, raczej uśmiechy i widoki
pięknego ładu życia. Nie dotknięta też została, mnie-
mam, zbyt ambicją Szopena, gdyż, prócz w spra-

¹⁾ Panna Wodzińska wyszła w r. 1841 za hr. Józefa Skarbka.
Nie była z nim szczęśliwa. Rozwiodła się w r. 1848, i poślubiła na-
stępnie p. Orpiszewskiego, człowieka chorego. Zmarł on w r. 1881.
Legenda podaje, że, ilekroć chciała grać Szopena, kostniały
jej palce.

Legenda pokrewna istnieje też w stosunku do przedmiotu
pierwszej, młodzieńczej i idealnej miłości Szopena, pięknej panny
Konstancji Gładkowskiej, doskonałej śpiewaczki, która wyszła za
mąż za kupca warszawskiego, Józefa Grabowskiego, i oślepla:
ilekroć grała Szopena, lub śpiewała ulubioną pieśń: *Quant e-
lagrime per te versa i*, z oczu jej ślepych, kropla po kropli,
padały łzy.

wach swej sztuki, był on stanowczo wyższy ponad nią osobiście. Stała się, natomiast, rzecz daleko gorsza dla duszy Szopena, dla głębi jej ukrytej jakgdyby nieosobowo: oto, zerwanie to usunęło od razu deskę, łączącą jego okręt życiowy, jego wędrówkę oceanową tułacza, z łodem jego rodziny i Polski. z widokami, rojonami chociażby, powrotu. Wszystkie nadzieje żywotne, nieuświadomiane może wyrażnie, ciepła tego związku, tego ognia ojczysto-rodzinnego, zostały od razu i nazawsze zerwane. Zostawał do śmierci już sam—tułacz na oceanie zmrożonym życia i wzburzonym sztuki. *Vogue la galère!*

Ten fakt, w losach tajemnych duszy, był, zdaniem mojem, przyczyną zbliżenia się Szopena do pani Sand i całego stąd dalszego z nią stosunku, jak również przyczyną, w związku już z tym stosunkiem pozostającą, rozwoju choroby Szopena. Mikrob śmiertelny, nie odpierany już siłą nadziei i ducha, rozpoznał swą władzę nad ciałem.

Poznanie się pani Sand z Szopenem nastąpiło, prawdopodobnie, u pani d'Agoult, do której Liszt wprowadził, oczywiście, swego druha. (Przyjaźń datowała się od przyjazdu Szopena do Paryża; portret Liszta był jedynym z portretów, jaki zdobył salon Szopena). Sama pani Sand pisze w *Historji swego życia* (tom IV): „U niej, lub przez nią, zawarłam znajomość z Eugenjuszem Sue, baronem d'Eckstein'em i Szopenem“. Było to, mniemam, latem r. 1837, czyli na kilka miesięcy przed zerwaniem narzeczeństwa Szopena. Pierwsze wrażenie, jakie wywarła pani Sand na Szopenie, było wręcz niekorzystne. W jednym z listów pisze do rodziny: „Poznałem wielką znakomitość, panią Sand, ale twarz jej niesympatyczna, nie podoba mi się, jest w niej coś odpychającego“. Hiller poza tem pisze do Liszta: „Jednego wieczoru zgromadziłeś u siebie znakomitości literackie. Była tam, oczywiście, i Georges Sand. Wracając do domu, Szopen rzekł mi: „Co za antypatyczna kobieta ta pani Sand! Jest li to naprawdę kobieta? Gotów jestem wątpić o tem“.

Nie należy, zresztą, przywiązywać do słów tych całego znaczenia bezpośredniego. Należy, owszem, widzieć w nich, że Szopen został zaintrygowany i stara się sobie zagadkę wrażenia rozwiązać. O kobiecie, zupełnie dla nas obojętnej, zazwyczaj nie mówimy. Pani Sand była milcząca w towarzystwie, i twarz jej, z maską Wenery z Milo, była wtedy bezmyślna i nie zajmująca. (Taka jest na biuście marmurowym w *Foyer Komed. franc.*). Oczy tylko ogromne, błyszczące mówiły tajemniczo i obiecująco. Cała jej wartość wymowna okazuje się dopiero w jej dziełach i w jej uściskach empirejskich, jak to zobaczymy za chwilę.

Po poznaniu, pani Sand zaprasza Szopena do Nohant. Szopen nie pojechał. W lipcu tego roku Szopen jest w Londynie. Możliwą jest rzeczą, że we wrześniu był w Ems. W październiku—zerwanie z narzeczoną. Potem tracimy go z widoku. W lutym dopiero 1838 r. widzimy go w Londynie, gdzie gra u dworu.

Z 2 marca 1838 r. mamy list Balzaka do pani Hańskiej, w którym ze swoją pocziwie uśmiechniętą kpina opisuje panią Sand. Oto jest ten list:

„Dotarłem do pałacu Nohanckiego w tłustą sobotę, koło pół do ósmej wieczorem, i zastałem towarzyszkę Georges Sand w szlafroku, palącą cygaro po obiedzie, w ogromnym pokoju pustym. Miała piękne żółte pantofle na nogach, ozdobione frendzelkami, zalotne pończochy i czerwone spodnie. Tyle—co do strony moralnej. Co do fizycznej, podwoiła

swój podbródek, jak ksiądz kanonik. Nie ma ani jednego siwego włosa, pomimo swych strasznych [nie]szczęść; cera jej śniada nie zmieniła się; piękne jej oczy są tak samo błyszczące; ma minę tak samo głupią, kiedy myśli, albowiem, jak to jej powiedziałem po zbadaniu, cała jej fizjonomia jest w oku. W Nohant bawi od roku, bardzo smutna i ogromnie zapracowana... Kładzie się o szóstej rano i wstaje w południe“. — Rozmawiali o Juljuszu Sandeau, który ich zawiódł oboje. „Była ona jednak jeszcze nieszczęśliwsza z Mussetem, i oto jest w głębokiem ustroniu, potępiająca zarazem małżeństwo i miłość, gdyż, w jednym i drugim stanie, znalazła tylko zawody.

„Nie jest ona miła, a przeto będzie tylko z trudem kochana. Jest ona chłopcem, jest artystką, jest wielką, szlachetną, oddaną, czystą; ma rysy męskie, ergo, nie jest kobietą“. I dalej jeszcze: „Wreszcie, jest to mężczyzna, i o tyle bardziej mężczyzna, że chce nim być, że wyszła z roli kobiety, i nie chce być kobietą. Kobieta przyciąga, a ona odpycha a ponieważ ja jestem bardzo mężczyzną, jeżeli sprawia na mnie takie wrażenie, musi je wywierać na mężczyzn, którzy są do mnie podobni; będzie zawsze nieszczęśliwa. Tak więc, kocha ona teraz mężczyznę, który jest niższy od niej,¹⁾ i w tym oto układzie masz tylko rozczarowania i zawody dla kobiety, która ma piękną duszę...“

Jak widzimy, list ten nie znamionuje zgola nowego opromienienia miłosnego pani Sand. Rzeczy są jeszcze w stanie dawnym.

Tego samego dnia, kiedy Balzak pisał swój list, Szopen grał na koncercie pianisty Alcana, a w kilka dni potem w Rouen, gdzie urządził koncert na rzecz rodaka swego, prof. Orłowskiego. Koncert wzbudził entuzjazm. „W sali były ciągle owe drżenia elektryczne, owe szmery zachwytu i zdumienia, które są oklaskami duszy“, pisał Legouvé jednym pasmem uniesień w *Gazette musicale*.

Z tegoż okresu mamy wizerunek artystyczny Szopena, skreślony brylantowem piórem Heinego w *Revue dramatique* Stuttgarckiem: „Polska dała mu swój sentyment rycerski i swe cierpienie historyczne, Francja—wykwint lekki i wdzięk, Niemcy—głębię marzycielską...; ale przyroda dała mu postać smukłą, zalotną, nieco chorobliwą, serce najszlachetniejsze i genjusz. Trzeba iście się zgodzić, że Szopen jest genjuszem w całym znaczeniu wyrazu. Jest on nie tylko wirtuozem, lecz i zarówno poetą: może nam odsłaniać poezję, jaka jest w jego duszy; jest to muzyk—poeta, i nic nie może się równać z rozkoszą, jaką on sprawą, gdy improwizuje na fortepianie. W takiej chwili nie jest on ani Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem; zaświadcza on wyższy początek: pochodzi on z kraju Mozarta, Rafaela, Goethe'go; ojczyzną jego prawdziwą jest kraina poezji“.

Tak stały rzeczy aż do maja r. 1838. Maj jest miesiącem zdradzieckim miłości. Wszyscy wielcy ludzie, tak samo, jak mali, zakochują się najczęściej w maju.

Szopen spotyka się już po raz drugi, czy trzeci z panią Sand, może nawet tym razem w swym własnym salonie na jednym z zebrań, które opisał tak świetnie Liszt w swej książce o Szopenie, aczkolwiek zbyt, zda się, sumarycznie zgromadził wszystkie gwiazdy, poczynawszy od Heine'go i Meyerbeera, skończywszy na Niemcewiczu i Mickiewiczu. Jest tam i pani d'Agoult, „której blond loki odbijają się w zwier-

¹⁾ Mowa o Mallefille'u, kochanku pani Sand.

ciadle". Zapraszając ją, musiał, oczywiście, zaprosić Szopen i panią Sand. I oto „pograżona w fotelu, z łokciami na konsoli, pani Sand jest ciekawie baczna, wdzięcznie uległa“.

Szopen gra. Pani Sand, jak wąż swą ofiarę, magnetyzuje go swemi urocznemi oczyma, a raczej pewną władzą duszy, którą umie natężyć, rzutować, i nią, jak rybę siecią, osnuwać i przyciągać, nie używając słów, mężczyznę, który się jej podobał. Drażni ją, że Szopen nie zwraca na nią uwagi. Wszak ona jedna umie kochać... Zagięła na niego parol. Zresztą, obecnie jest prawdziwie wzruszona muzyką. Jak jakiś kłęb spazmu, zapada ona w jej piersi i tem bardziej do miłości pobudza...

Szopen gra. Salon zamienia się w jakąś niepa-miętną krainę wewnętrzną, siedlisko obłoczne dusz, skroś lży widziane, gdzie wszyscy temi czystymi duszami, od ciała oddartemi, łkają, opowiadając więzienie, w jakim pozostawali, i biadając, że znów muszą wracać do niego. Takiemu poczuciu wolności duszy i nieszczęścia niewoli jej w ciebie żaden jeszcze artysta nie wzbudzał. Artysta? — Nie! To dusza sama anielska gra, oddzierająca się od ciała i krwią swych ran triumf śpiewająca! Triumf nadziei — wbrew nadziei.

Oklasków niema. Wszyscy zanadto przejęci, wszyscy nad duszami swemi pochyleni. (c. d. n.)

Kobieta w świecie i w domu

ADWOKATKI EGIPSKIE

„Jus Suffragii“ zamieszcza w ostatnim swym numerze korespondencję z Egiptu, z której dowiadujemy się, że kraj ten liczy już poważną ilość kobiet-adwokatów. Są to przeważnie absolwentki Francuskiej Szkoły Prawniczej w Kairze, prowadzonej pod kierunkiem p. Gerarda Pélissière.

Szkolę tę ukończyło już w roku 1923 ze stopniem licencjatek sześć kobiet, pomiędzy którymi była jedna mahometanka. Obecnie ilość ich wzrasta z każdym rokiem.

Pierwszą adwokatką, która była dopuszczoną do praktykowania w tak zwanym „Barreau Mixte“ w Egipcie, jest pani Michel. W rozmowie ze sprawozdawczynią „Jus Suffragii“ podkreśla ona, że dzień przyjęcia jej w poczet grona palestry egipskiej, jest najpiękniejszym dniem w jej życiu.

— „Gdy zagłębiam się myślą we wspomnienia przeszłości — mówi pani Michel — widzę samą siebie, zmierzającą do celu, osiągniętego już dzisiaj, zrazu nieśmiało, z wielkim trudem, potem coraz szybciej i z coraz większą pewnością siebie. Czternaście lat temu, gdy rozpoczynałam zaledwie jeszcze swoją karierę naukową we francuskim liceum dla młodych dziewcząt, nie przewidywałam nawet w najśmielszych moich marzeniach, że będę się mogła poszczycić kiedyś mianem pierwszej kobiety-adwokata w Egipcie,

Jeśli się cieszę z osiągnięcia celu moich tyloletnich usiłowań, to nie tylko ze względów egoistycznych,

Bardziej jeszcze, niż triumf osobisty, cieszy mnie fakt, że wysiłki moje utorowały drogę innym moim rodaczkom. Gdy rozpoczynałam swą pracę, byłam sama jedna na tem polu — dziś mam już wkoło siebie liczny zastęp koleżanek! — I tutaj pani Michel dodaje z uśmiechem: Pamiętam, że gdy na uroczystym akcie zakończenia roku szkolnego wręczono mi dyplom absolwentki szkoły nauk prawnych, radość moja była tak wielka iż jeden z obecnych na sali przedstawicieli prasy zbliżył się do mnie i zapytał, dlaczego wyglądam na tak bardzo szczęśliwą? Odpowiedziałam mu to, co mogę i dziś powtórzyć każdemu, kto mnie pyta o powód obrania sobie zawodu prawniczego, jako celu życia: Tak, jestem bardzo, bardzo szczęśliwa, bo wiem, że jestem pierwszą pionierką na tej drodze, po której pójdą za mną rzesze innych moich rodaczek. Choćby nie potrafiła niczem innem przysłużyć się memu krajowi, idea, którą ukochałam, pozostanie przy życiu nawet po mojem usunięciu się z tego pola, a wszystkie moje następczynie skorzystają z mojej pracy i doświadczeń“.

ŚMIERĆ DZIELNEJ PODRÓŻNICZKI

„The Voto“ donosi o śmierci dzielnej podróżniczki angielskiej, panny Frances Knowles-Fester, która zakończyła życie wskutek wyczerpania podczas podróży morskiej. Panna Knowles-Fester sterowała sama yachtem, na którym odbywała podróż wraz z gronem swych znajomych po morzu Północnem. W pobliżu Bałtyku podróży zaskoczyła straszliwa burza, odważna podróżniczka nie straciła jednak przytomności umysłu i po kilku godzinach rozpaczliwej walki z szalejącym żywiołem doprowadziła statek do bezpiecznego portu, ratując życie kilkunastu osób. Podczas jednak tych wysiłków przy sterze, szarpanego wichrami i falami statku złamała sobie palec u ręki i nadwreżyła mięsień przedramienia, pomimo to jednak steru nie puściła ani na chwilę. Gdy niebezpieczeństwo zostało już zażegnane, dzielna dziewczyna, po opuszczeniu statku, kazała przybyłej z pomocą ludności zająć się najprzód wszystkimi pasażerami i załogą, a potem dopiero pozwoliła przewieźć się do najbliższego szpitala, gdzie wkrótce, pomimo pomocy lekarskiej, zmarła wskutek wyczerpania.

KOBIETY DŻOKEJAMI

Pisma angielskie donoszą o zwycięstwie, odniesionem przez pannę Iris Rickaby na wyścigach w Newmarket. Drugą po niej przyszła do mety panna Eileen Joel, córka znanego przemysłowca S. B. Joela. Wyścigi w Newmarket są jedynymi biegami, w których mają prawo brać udział kobiety-dżokejki.

NESTORKA SZOFEREK

Stowarzyszenie kobiet-szoferek we Francji obchodziło w tych dniach uroczystości osiemdziesiątą rocznicę urodzin znanej sportsmenki francuskiej, księżnej d'Uzès. Księżna jest pierwszą kobietą we Francji, która odważyła się przed laty zasiąść sama przy kierownicy samochodu. Z. B.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Uśmiech Losu” komedia w 4 aktach Włodzimierza Perzyńskiego.

Perzyński, mimo swą gryzącą ironię, należy stanowczo do autorów optymistycznych. Optymizm jego wynika, prawdopodobnie, z dobroci serca: poprostu Perzyński znieść nie może ostatecznej biedy człowieka i zwykle w końcu swoich utworów ludzi najbardziej nieszczęśliwych wyprowadza na jakieś możliwe drogi żywota. Tą siłą, która dopomaga człowiekowi do ratunku, bywa zwykle zbieg okoliczności, szczęśliwy przypadek. Perzyński jest przenikliwym obserwatorem życia; i dlatego, choć rozumie znaczenie moralnych przewyżczeń się i ocenia siłę charakteru, wie, że naprawdę w życiu szczęście przynoszą tylko przypadki. Przynajmniej w tem małym życiu jakie on obrał sobie za „pole obserwacyjne. Z innej strony, niż Żeromski, ten Wielki Inkwizytor polskiej literatury, ale prawie równie silnie chwytając za serce, umie Perzyński podpatrzeć tajniki ludzkiej nędzy, te niewypowiedziane nieszczęścia, za małe, żeby stały się tragedją, i za wielkie, żeby je zanalizować do dna. „Bowiem taka jest tajemnica odtwarzania życia, że to odtwarzanie nie może być nigdy zupełnie dokładne. Życie, wzięte pod mikroskop, byłoby tak ohydne, jak ohydna jest w mikroskopie kropka źródlanej wody. Poprostu ludzie nie mogliby znieść tego widoku. Dlatego w utworach Perzyńskiego jest pewna szkicość, ciągle chwilowe odsłanianie kotary i ciągle jej zapuszczanie.

„Uśmiech Losu” jest historją doktora filozofji Siewskiego, który, przez nędzę ostatecznie poniżony, przez łaskę złej Fortuny — za cenę łajdactwa — przywrócony do godności ludzkiej, po kontemplacyjnym odpoczynku w kryminale, przez miłość wraca wreszcie na to stanowisko, które się porządkiem człowiekowi należy.

Historja w skrócie jest taka: obszarpany i niegłolny od tygodni Siewski pije w ogródkowej kawiarence kawę, na której wypicie pozwala mu jedynie posiadanie zepsutego srebrnego zegarka. Z kłopotliwej sytuacji, jaka wynika z brutalnym kelnerem, wybawia go nagłe przyjście byłego i zapomnianego kolegi, pana Kozłowskiego, który, aczkolwiek niegdyś wypędzony z II-iej klasy, przecież wyrobił się na człowieka: ma dwa automobile, piękną żonę, z którą się rozwodzi, i piękną narzeczoną, która go oszukuje z footballistą. Kozłowski poznaje Siewskiego, przypomina się mu i, korzystając z jego ostatecznej nędzy, namawia go za cenę ubrania, mieszkania i kilku tysięcy gotówki do wzięcia udziału w jego procesie rozwodowym w charakterze fałszywego świadka na niekorzyść, nieznaną przez Siewskiego, swej żony. W drugim akcie widzimy Siewskiego w mieszkaniu żony Kozłowskiego. Choć nikt o tem nie mówi, wiemy odrazu, że tu jest miłość. Akt trzeci w dancingu: zdemaskowanie kochanki Kozłowskiego przez zakochałego w niej footballistę, awantura, burda, bójka. Siewski wyrwa footballiście rewolwer i strzela do Kozłowskiego, wołając do nadbiegającego policjanta radosnym głosem: to ja strzelałem! Kamień spadł mu z serca, gdy on, przez Kozłowskiego — za cenę możliwości utrzymania się na powierzchni życia — doprowadzony do łajdactwa, mógł mu w końcu za to zapłacić. Nie będzie teraz zeznawał fałszywie przeciw tej, którą skrycie kocha. Następnym awantury w dancingu było, oczywiście, uwięzienie Siewskiego i powrót małżonków Kozłowskich do wspólnego życia, które, jednak, jest tylko dalszym ciągiem niesłychanych tortur nieszczęśliwej kobiety.

W akcie czwartym Siewski, przegarnięty przez pocziwego footballistę i jego matkę, powraca powoli do równowagi. Pocziwy Perzyński musiał mu, naturalnie, wyrobić posadę, tymczasem za 300 złotych, „ale będzie później więcej”. Oczywiście przypadek sprowadził też do mieszkania krawcowej, matki footballisty, i panią Kozłowską. Prześliczne obopólne wyznanie miłości i zapowiedź walki z demonem-paskarzem Kozłowskim kończy sztukę. Po zrobieniu licznych i gruboskórnych trudności, Kozłowski napewno ustąpi; jestem pewna, że państwo Siewscy rozpoczną, tak zwane, nowe życie. Jakie ono będzie, tego nie wiem. Gdyż, dziwnym zbiegiem okoliczności, wszyscy pisarze doprowadzają nas tylko do wrót owego życia, nigdy nam go nie ukazując.

Najlepiej narysowaną postacią w całej sztuce jest Siewski. Zdeklasowanych inteligentów nikt tak nie przedstawia wyraźnie, jak Perzyński. Ale i wszystkie inne typy obserwowane są doskonale. Wyróżnić, jednak, z pośród nich należy paskarza Kozłowskiego, typ równie przez Perzyńskiego ulubiony, jak nędzarz inteligent.

Siewski kreowany był przez Jaracza. Niema drugiego aktora w Polsce, któryby tak odtwarzać umiał ludzką biedotę jak ten. Pierwszy akt, zwłaszcza, był istnem arcydziełem kunsztu aktorskiego; ale i w innych aktach, a zwłaszcza w czwartym, wspiął się Jaracz na wyżyny, o których zapominać widzom niewolno. Podczas miłosnego wyznania nastąpiło w rysach jego jakieś cudowne przejaśnienie, i charakterystyczna, ale nieładna jego twarz stała się wtedy nieziemsko piękna. Rola Siewskiego należeć będzie do naj-

piękniejszych kreacyj Jaracza. Doskonałego miał partnera w Myszkiewicz, który, dostawszy wreszcie odpowiednią rolę, pokazał, ile umie i ile może: dał jaskrawy, ale bynajmniej nie przejasniony typ dorobkiewicza. Aż do najdrobniejszych szczegółów (nie mogę tu pominąć doskonałego ubrania w pierwszym akcie) rola jego była wypracowana precyzyjnie.

Bardzo dobrą nowoczesną panną z Dancingu i z biura (dwa „światy” dzisiejszych kobiet) była panna Jaroszewską, ród swój z Krakowskiego Teatru wywodząca. Kiedy pozbędzie się troszkę prowincjonalnego sposobu mówienia do publiczności, Teatry Miejskie pozyskają w niej wtedy siłę doskonałą.

Sliczna panna Majdrowiczówna budziła się, niekiedy z przyswojonego sobie stanu śpiącej królowej i dała miły zarys kobietaleczki, która w akcie czwartym niekiedy podnosiła się nawet do poziomu człowieczeństwa. Nic, niestety, przyjemnego powiedzieć nie mogę o panu Tadeuszu Frenkle. Kiedy grał amantów, mówiono, że powinien grać charakterystyczne. Kiedy przeszedł na charakterystyczne, dał operetkę à la Krzewiński. Sądzę, że talent Frenkla - juniora jest raczej talentem estradowym, niż scenicznym. Szkoda, że ten młody artysta, taki inteligentny, tak złym dla samego siebie jest doradcą. Mam wrażenie, że paroletni pobyt w którymś z większych prowincjonalnych teatrów, gdzie pracuje się z koniecznością rzeczy usilniej, niż w stolicy, zrobiłby mu bardzo dobrze.

Wyborną sylwetkę kelnera dał pan Skarzyński, aktor niezwykle sumienny i, jak się to w języku teatralnym nazywa, niezawodny. Pan Solarski był wdzięcznym i dziarskim footballistą pani Jaroszewska — charakterystyczną krawcową.

Zespół statystów, bardzo w tym roku szczupły, zachowywał się dość poprawnie, zawiele tylko może „grał”, nie mając wyrobionego o tej czynności pojęcia.

Na zakończenie mała uwaga: nie wiem, dlaczego w ubogim mieszkaniu krawcowej, ściany nie schodzą się w rogach. Czyżby to miał być symbol gościnności tego domu?...

TEATR POLSKI

„CAR PAWEŁ” sztuka w 3 aktach (9 obrazów) Dymitra Mereżkowskiego.

Co jakiś czas któryś w teatrów w Polsce gra „Cara Pawła” Mereżkowskiego. I za każdym razem publiczność z równym zainteresowaniem i przejęciem słucha tego ponurego dramatu, który znakomity pisarz rosyjski natchnął nieklamana grozą. Pomimo licznych usterek tej sztuki, jak urzeczeni patrzymy na tragiczny los Cara — Idei, nie Cara-człowieka, bo tragedję caryzmu, nie despotyzmu, chciał nam pokazać Mereżkowski w swojej sztuce.

Paweł nie jest despotą z rodziny Nerona, Kaliguli, Iwana Groźnego. Despotyzm jego nie wypływa z fanatycznego uwielbienia władzy, ani z poczucia swojej siły; nie jest to również despotyzm szaleńca. Paweł jest despotą, bo jest Carem. Despotą czyni go ślepy posłuch rosyjskiego żołnierza, miłość i nienawiść rosyjskiego ludu, przepojone jakimś niezrozumiałym dla nas mistycyzmem (co tak dobrze ujął tenże Mereżkowski w „Dekabrytach”). I dlatego krwawy czyn morderców Pawła nie zbawił Rosji i w niczem nie zmienił potwornego stosunku, jaki się wytworzył między panującym i jego ludem. Następcą Pawła będzie żył w takim samym piekle udręceń, i w takie samo piekło zamieni życie swoich poddanych. Może będzie logiczniejszym w swoich zarządzeniach. Może będzie mniej zdegenerowany, jako człowiek, ale to rozdzielenie psychiczne, jakie wytworzyła w nim otchłań między jego Człowieczeństwem i Caryzmem, będzie zawsze źródłem tragedji. Przypomnijmy sobie, że Mikołaj II wzdygał się przed nadaniem większych swobód swemu narodowi również z powodów mistycznych: bał się braci na swoje barki grzechu uszczuplenia władzy Cara... Oto dlaczego Paweł z zimną krwią podpisuje wyrok na syna i rozkłada się nad jego miniaturą: wolno ojcu płakać nad dzieckiem, ale nie wolno carowi nie ukarać spiskowca.

Siła, z jaką Mereżkowski odtwarza potworną psychiczną i moralnie atmosferę otoczenia Pawła, jest źródłem zainteresowania, jakie budzi w nas ta sztuka. Bo, jako dramat, ma „Car Paweł” dużo usterek. Przedewszystkiem — przeładowanie materiałem historycznym, następnie nierównomierne traktowanie postaci. Car Paweł, Pahlen i Wołujew są narysowani mocnymi barwami; reszta osób to nikłe cienie, sylwetki bez charakteru, bez wyraźnej indywidualności. „Car Paweł” jest par excellence sztuką widowiskową i daje szerokie pole do popisu reżyserskiego. Zrozumiał to p. Borowski i wyzyskał tę stronę, jak tylko wyzyskać ją było można. Jego tłumy były doskonale ubrane, wymusztrowane i poruszały się w stylowej oprawie dekoracyjnej pana Frycza.

Co do wykonania aktorskiego — pan Junosza Stępowski raz jeszcze dowiódł, że talent jego jest obecnie w fazie największego rozkwitu. W roli Pawła rozsunął przed nami nieprzebrane bogactwo kunsztu aktorskiego. Reszta zespołu — więcej, niż poprawna.

Z. P.

O WNETRZACH MIESZKANIOWYCH

WSPÓŁCZESNY DOM FRANCUSKI

Od gotyku do empire'u sztuka francuska promieniowała na cały świat wysokim poziomem piękna, subtelnego wdzięku i elegancji. Zabrnawszy w końcu XIX wieku w secesję, zdawało się, nigdy z niej się nie otrząśnie. Lecz oto niespodzianie z pod gruzu i krwi wielkiej wojny, niespożyty, wiecześnie młody i genialny duch łaciński odradza się, jak feniks z popiołu. Sypią się olśniewające prostotą pomysły, nazwiska Le Corbusier-Saunier, Perret stają się głośnie na obie półkule. Cóż się stało?

Gdy umilkły armaty, zaszła potrzeba odbudowania całych dzielnic, leżących w ruinie. Trzeba było, by nowe domy kosztowały jaknajmniej i jaknajprędzej dały się pobudować. Wówczas rzucono po raz pierwszy pomysł domów betonowych, najprostszych i najtańszych. Jako zasadniczą bryłę przyjęto sześciąt, odrzucono całe zdobnictwo w różnych pseudo-stylach i sformowano wnętrza na całkiem nowych zasadach.

Zarzuca się typowi nowego domu, że jest nie architekturą, lecz konstrukcyjnym budownictwem, i że dąży „wraz z trzecią międzynarodówką” do zatarcia narodowych, charakterystycznych cech budownictwa poszczególnych krajów. Cóż na to odpowiedzieć? Od paru dziesiątków lat przyjęto w całym świecie pewien typ maszyny do szycia, przyjęto jeden typ wagonów, lokomotyw, żarówek elektrycznych i miliona innych przedmiotów. Nie mamy dziś w szeregu zdobyć naukowych rozgraniczeń „państwowych”. Oczywiście fabryki w tym, lub owym kraju wyrabiają przedmioty cokolwiek może różne, ale zasada jest jedna, bo dąży się dziś i już się ją ma — wspólną cywilizację. Co zaś do konstrukcyjności, ujawnionej w formie domu — to odpowiedzi są dwie. Primo: każda era architektury, jak np. sztuka chrześcijańska na gruzach Rzymu, zaczęła się rozwijać, począwszy od najprostszego założenia. To też proste geometryczne bryły dzisiejszych domów są właśnie owymi prymitywami nowej sztuki, o której zupełnie nie wiemy, do jakich form dojdzie, jak nie wiadano, budując romański klasztor, o cudach gotyckiej katedry. Przeżyliśmy wszystkie formy możliwe, wszystkie dekoracje przetrawiliśmy wielokrotnie w wieku XIX-ym., jest to dowód, że tą drogą do niczego się nie dojdzie. Na szczęście mamy nowy materiał, mamy nowy rytm życia i możemy zacząć nową erę sztuki. Secundo: żyjemy w epoce techniki. Genjusz ludzki opanowuje świat, ujarzmią przyrodę. Większość najlepszych wynalazków ludzkości opiera się na suchej, logicznej konstrukcyjności, czy to będą turbiny, czy lokomotywy, okręty, czy aeroplany. Weźmy samochód. Nikt dziś nie żąda, aby on przypominał dworską karocę króla słońca, jadącą bez koni, a jednak uznajemy piękno limuzyny Rolls-Royce'a. A przecież ta limuzyna jest ściśle konstrukcyjną. I miliony, miliony przedmiotów wokoło nas powstały z użytecznej celowości, z konstrukcyjności swojej i zyskały pewien poziom piękna. Rzućmy okiem na mknący pociąg — train bleu — z Paryża do Biarritz. Na okręt Paris, płynący do New-Yorku.

Zacierają się powoli cechy narodowościowe w wielkich zdobyczach naukowych, upodabnia się świat, lecz nie przez politykę, a przez braterstwo na-

uki. Może za tysiąc lat sprawdzi się wizja Wells'a o jednym narodzie, zamieszkującym kulę ziemską, lecz dziś jeszcze do tego daleko. Ale skoro mamy już przyjęte pewne zasadnicze ogólne typy przedmiotów dla całego świata, niech to będą np. walizy podróżne, samochody, czy słuchawki radio, dlaczego nie mielibyśmy podporządkować wszechwładnemu prawu i — domu mieszkalnego? Czyż naprawdę grozi to ujednolicieniem budownictwa całego świata? Nigdy, dopóki istnieją narody i państwa, dopóki mamy różnice klimatyczne, dopóki mamy różne stany posiadania, nie nastąpi to nigdy. Może za tysiąc lat, aby to nie przeszkadza, by wyjść z jednego założenia. Na tej samej bowiem zasadzie oparto budowę przewrotnego białego wozu dla Indyj, co i ciężkiego, o podwójnych oknach i kaloryferach, wagonu syberyjskiego, czy amerykańskiego. Na takim samym podwoziu stoi salon car z pociągu flèche d'or, co i wagon III-ej klasy Warszawa—Lwów. A przecież różnice są. Różni się waliza ze skóry krokodyla, wyklejona aksamitem, od swej siostry z fibru obitej perkalem. Różni się będzie zawsze dom południowca od domu mieszkańca północy, dom francuza — od domu Niemca, dom bogatego — od domu biedaka. Ale przyjmijmy jedną wspólną wielką ideę budowy nowych mieszkań, zgódźmy się, że dziś są jednakowe zasadnicze wymagania i potrzeby dla domów w całym świecie.

Dzisiejszy dom, jakże się różni od domu z przed lat 10-ciu. Wiele osób nie chce w to uwierzyć, zatykają sobie uszy, zasłaniają oczy i krzyczą „nie”. Niech się ludzka do czasu, biegu życia nic nie wstrzyma. Nie jedna łza spłynęła nad zrównanym z ziemią pociskami z grubej Berty zamkiem z czasów Franciszka I, nad wykopanymi przez dzicz wschodnią fundamentami białego dworu kresowego. Nie wskrzesi ich nic. Tak samo umarło dawne pojęcie domu.

Dziś, gdy los rzuca ludźmi z jednego ładu na drugi, gdy się przenosi o setki, lub tysiące kilometrów, by po pewnym czasie gnać znów dalej, pojęcie gniazda rodzinnego, nienaruszalnej twierdzy tradycji — rozwiewa się. Dzisiejszy, albo może jutrzejszy dom będzie, jak ów automobil. Dziś stać mię na Forda, jutro kupię Dodga, a może za tydzień będę miał Hispano-Suizę; czyż będę wówczas jeździć starym Fordem? Dziś mieszkam na Rivierze, po roku interesy przeniosą mię do Flandrii, a za parę lat zdrowie każe mi zamieszkać nad oceanem. Czyż będzie mię stać na stworzenie trzech domów? Nigdy. A więc może wnosić się do domu cudzego, poznawać cudzą duszę, ujawnioną we wnętrzu, które mi może nie dogadzać, i zostawiać znów częstkę siebie tym obcym, co przyjdą po mnie? Jest wyjście: będę mógł kolejno swój dom postawić, gdzie zechcę, dom indywidualny, coraz wygodniejszy, dom tani, prosty, konstrukcyjny. Gdy mi nie będzie potrzebny, rozbiórę go i przeniosę na inne miejsce, lub sprzedam i obstatuję taki sam, może lepszy.

Dzisiejszy dom. Dom dla członków społeczeństwa, które pracuje intensywnie, społeczeństwa wysportowanego, o jakimś nowym, może trochę brutalnym rozmachu. Dom dla ludzi, żadnych przestrzeni, światła, wygody i prostoty. Bo — na im wyższe wyżyny pnie się duch ludzki, tem forma zewnętrzna prościeje. Leniwe, słodko-mdłe i puste życie rokoka ubrało się w przepych barw, strojów i form, płonęły woskowe świece i turkotały pięciokonne dyliżanse. Ruchliwe, czynne, intensywne życie dzisiejsze, życie, pędzące autem i avionem, życie w wieku radja i elek-

tryczności, mieszka w surowych, prostych, skromnych wnętrzach. W świetnych pomysłach swoich Le Corbusier przewidział nie tylko dziś, ale i jutro, jego domy są domami przyszłości. Tak, lub inaczej zmienione, dostosowane, przerobione rozejdą się po całej starej ziemi. Bogaty przyozdobi je marmurami i mozaiką, biedak—kilimem i fotografią.

Zajrzyjmy do wnętrza. Przestronne, przejasne, przewiewne. Sercem domu jest hall. O całej ścianie ze szkła, o surowych, nagich ścianach, na których będzie można—w miarę możliwości—zawieszać barwne płachty dywanów, obrazy, czy fotografie dzieł sztuki. Rzadko rzucone, świetnie wykonane, tworzą wypożyczek dla oka, ślizgającego się po nagości muru. A może zabarwimy ściany na dowolny kolor, stworzymy wnętrza błękitne, złote, szkarłatne, białe, dobierając odpowiednie w kolorze meble. A może wymalujemy ściany w desenie i motywy, jakie podszepnie fantazja. W środku wielkiego, przestrzennego hallu zgrupowane ogromne, wygodne klubowce wkoło stołu. Gdy się wraca zmęczonym z biura, czy z parogodzinnego trenningu na tenisie, lub łodzi, jakże rozkosznie jest rzucić się w taki przytulny, miękki fotel! Technika konstrukcji pozwala dziś otwór okienny nie ograniczać do prostokątu, czy kwadratu, umieszczonego w ścianie, lecz zrobić z okna całą ścianę. Będą szyby otwierane i nieruchome, szyby, przystające hermetycznie, nie przepuszczające wiatru¹⁾. Szklaną ścianę przysłania się kotarą. Znowu gra ona rolę użyteczną, a nie dekoracyjną, przyczem, dzięki wchłanianiom kurzu, niema dziś już obawy przed tkaninami. Ow hall może mieć całą ścianę otwieraną na taras, lub pergolę; biegnie przez piętro, lub dwa wzwyż. Do hallu otwiera swe wnętrza biblioteka na piętrze, oddzielona balustradą. Biblioteka, złożona z amerykańskich składanych szaf, rosnących w miarę potrzeby, z wygodnymi fotelami do czytania. Z halliem łączy się bezpośrednio jadalnia, do hallu otwierają się sypialnie. Zamiast szeregu pokoi, podzielonych ścianami, połączonych drzwiami, często zamykanymi, wnętrza, podzielonego na szereg małych klatek, otrzymujemy wspólną, wielką jednostkę. Nie będzie różnic temperatur w pokojach. Jedna atmosfera, ogrzana do dowolnej wysokości radiatorami, wypełni dom. Ileż powietrza, ileż światła. Niewielki nawet dom robi wrażenie dużego wnętrza. Biegna wokół hallu lekkie galerje, balkony, jak te na statku, proste i miłe. Zgrabne konstrukcyjne schody zajmują minimum miejsca.

Naturalnie, szereg ubikacji odizoluje się ścianami: kuchnia, sypialnia służby, o ile będzie, łazienka, śpiżarnia, klozet. W mniejszym domu hall zastąpi jadalnię, salon, bibliotekę, pokój mieszkalny — grając kolejno rolę każdego z nich. W domu mniejszym jadalnię dzieli się arkadą, prostym łukiem, zasnutym przedzą z paciorków. Fantazja artysty ma pole do popisu. Tysiące odmian zgrupowań, niby takich samych elementów wnętrza. Tu sypialnia na pół piętra nad poziomem sali, ówdzie—na całe piętro otwiera, jak łoża, swoje wnętrza. Wnętrze, przesycone światłem w dzień, pełne roślin bujnych w słońcu szklanej ściany, wieczorem zalane sztucznym światłem, rozproszonym umiejętnie, dostatecznym, a nie rażącym. Wnętrze ciepłe, związane w jeden wielki organizm, prawdziwy home współczesnego człowieka. Gdzieś

z boku dostawione pokoje dzieci, związane z sypialnią rodziców. Dom daje się łatwo dobudować, rozszerzyć, powiększyć. Odrzucono zbyteczny balast dachu, niepotrzebną czapę, kosztowną i niebezpieczną. Płaskie tarasy pozwalają na urządzenie t. zw. roof garden, ogrodów wiszących, tarasów do kąpieli słonecznych, placów do zabaw dla dzieci, ogrodzone mocną siatką, wysypane piaskiem, z szemrzącą fontanną—raj dla malutkich obywateli. Na małej parceli, gdy dom zajmie prawie cały teren, taki ogród na dachu jest bezcenny. A obok—mały garaż, związany dziś w nierozłączną całość z domem, a może wkrótce—hangar. W takim wnętrzu nie będzie razila maszyna do pisania, dziś krzycząca na renesansowym biurku, ani telefon, zawstydzony na konsoli rokoko, ani radjoaparat z lampami, bo rzeczy te będą tam na miejscu. To wnętrze, dziś może ciężkie i surowe, choć wygodne, jest wnętrzem epoki. Dzisiejsze tętno dobrze może bić właśnie w takim domu, zaopatrzonym we wszystkie zdobycze i potrzeby. To wnętrze, w którym nie tylko my, ale i przyszłe pokolenie będzie mogło żyć wygodnie.

Zygmunt Knothe.



PRACA SPORTOWA W HALACH GIMNASTYCZNYCH I W DOMU

W jednym z poprzednich numerów, w artykule p. t. „Sport w zimie“, omawialiśmy zasadniczo konieczność prowadzenia pracy sportowej w zimie, celem utrzymania sprawności fizycznej i niezbędnego hartu.

Dziś poruszymy temat, logicznie z poprzedniego wypływający, omówimy, mianowicie, najważniejszą i najszerszemu ogółowi dostępną część zimowej zaprawy fizycznej, tę mianowicie, którą doskonale skutecznie możemy w salach gimnastycznych.

Wspominaliśmy już niejednokrotnie, że u podstawy uprawiania wszelkich sportów, tak zimowych, jak letnich, leży nieodwołalnie racjonalna i systematyczna zaprawa gimnastyczna. Owa zaprawa gimnastyczna stała się już dziś, po wielu latach praktyki i doświadczenia, koniecznością nieodzowną nie tylko dla sportowców, punktem ambicji dla których jest—budować sobie możliwość osiągnięcia coraz lepszych wyników w poszczególnych dziedzinach sportu. Zaprawa gimnastyczna uważana jest ponadto—niemal jednogłośnie—za warunek sine qua non dobrego stanu

¹⁾ Mowa o domu francuskim, położonym w klimacie bardzo łagodnym.

zdrowia, ogólnej sprawności życiowej — nie mówiąc już o sprawności fizycznej, uważana jest zarazem za najdoskonalszy sposób zachowania młodego wyglądu, lekkich, swobodnych ruchów, zgrabnej, harmonijnej postaci. Bez przesady zgoła możemy powiedzieć, że w Ameryce np. ćwiczenia gimnastyczne uważane są za konieczność życiową, zarówno przez słynną gwiazdę kinematograficzną, jak przez przeciętną panienkę biurową, zapracowaną studentkę i skromną pracownicę igły.

Oczywista jest rzeczą, że najlepsze rezultaty zaprawa gimnastyczna daje wówczas, gdy uprawiana jest pod kierunkiem instruktorów. W Warszawie, na szczęście, coraz łatwiej zdobyć można instruktora, i coraz więcej powstaje kompletów gimnastycznych przy różnych organizacjach. Dla orientacji zrobimy krótki przegląd praktycznych możliwości uprawiania ćwiczeń gimnastycznych w salach zimowych.

Najlepszą opinią fachowców cieszy się w Warszawie, pośród zawodowych zakładów gimnastycznych, zakład p. Olszewskiej, hołdujący przede wszystkim doskonałemu systemowi gimnastyki szwedzkiej Linga. Na drugim miejscu postawić należałoby zakład p. Nowackiej i kilka na mniejszą skalę prowadzonych zakładów.

Ponadto na bardzo intensywnej zaprawie gimnastycznej oparte są szkoły rytmoplastyczne. Przoduje w tej dziedzinie doskonała szkoła pp. Hulanickiej i Mieczysławskiej, dalej — Wysockiej, Paszkowskiej i Kutnerówny. Zwrócić należałoby tutaj uwagę na fakt, że na zachodzie Europy i w Ameryce oddawna już rozumiano wielką wartość ćwiczeń rytmogimnastycznych i włączono ćwiczenia te do ogólnego programu pracy klubów sportowych, zwanego „kulturą fizyczną“.

Oczywiście, poza wymienionymi zakładami gimnastycznymi, wszystkie niemal kobiece kluby sportowe w Polsce prowadzą w okresie zimy dla swych członkiń systematyczne ćwiczenia gimnastyczne. W Warszawie specjalnie wysokim poziomem ćwiczeń tych odznacza się kobiece gniazdo sokole „Grażyna“. Dalej idzie sekcja pań w Akademickim Związku Sportowym, Warszawski Klub Wioślarz, Klub Sportowy „Polonia“ i wiele innych organizacji sportowych.

Jak widzimy z zestawienia powyższego, aczkolwiek naogół liczba zakładów gimnastycznych w Warszawie jest stosunkowo niewielka, panie, pragnące uprawiać zimą gimnastykę pod kierunkiem instruktorów, bez zbyteń trudu mają dużą skalę wyboru pomiędzy zakładami gimnastycznymi, rytmogimnastycznymi, a klubami sportowymi.

Dla tych pań, które dla jakichkolwiek bądź względów nie będą mogły korzystać z zaprawy zbiorowej pod kierunkiem instruktorów i skazane będą na samodzielne prowadzenie ćwiczeń, podajemy poniżej krótki schemat zasadniczych ćwiczeń, zwracając przytem uwagę na konieczność jaknajbardziej poprawnego ich wykonania. Ćwiczenia, które poniżej podajemy, wyjęte zostały z systemu szwedzkiego Linga. Można je wykonywać w każdym pokoju, najlepiej przy otwartym oknie, a w każdym razie pokój winien być doskonale przewietrzony. Ubranie winno być jaknajprostsze, swobodne i niekrępujące ruchów. Najlepiej — ciemne, krótkie majteczki i bluzka z krótkimi rękawami.

Każde ćwiczenie rozpoczynać należy z postawy „na baczność“. Jest to nieodzownym warunkiem poprawnego wykonania ćwiczeń. Postawa ta przypomina żołnierza bez broni, stojącego na baczność. Ciało wy-

prostowane, pięty złączone, stopy w palcach rozstawione, barki cofnięte w tył, ramiona wzdłuż ciała zwisają, palce u rąk razem, duży palec na środku uda. Brzuch wciągnięty, głowa prosto, podbródek cofnięty. Postawę tę należy zachować lekko i spokojnie, bez zbytecznej sztywności.

Ćwiczenie I. Podnoszenie ramion bokiem do poziomu i w pion. Objaśnienie. Postawa na baczność. Na raz: unosimy ramiona bokami w górę, zatrzymujemy je po osiągnięciu linii poziomej prostej ramion z barkami.

Na dwa: Odwracamy ręce dłonią do góry. Z poziomu prowadzimy ręce w górę do pionu. Silnie wyciągamy całe ciało ku górze.

Na trzy: Ręce wracają do poziomu z odwróceniem dłoni ku dołowi.

Na cztery: Powrót do postawy zasadniczej. W czasie wykonywania powyższego ćwiczenia (na 4 tempa), robimy głęboki wdech w czasie podnoszenia ramion do góry. Wydech następuje w czasie opuszczania rąk, przytem winien być również głęboki.

Ćwiczenie to, niezmiernie proste i łatwe, wykonywane być może z pożytkiem zarówno przez małe dziewczynki, jak i przez dorosłe panie, niezależnie od wieku. Stanowi ono niezbędny wstęp do ćwiczeń dalszych, bardziej złożonych i więcej męczących.

Ćwiczenie II. Przysiad. Ćwiczenie to ma na celu głównie rozwinięcie mięśni nóg. Wykonywać je trzeba również na 4 tempa.

Postawa zasadnicza (na baczność). Złożyć ręce na biodrach (cztery palce, razem, złożone, do przodu, duży palec do tyłu).

Na raz: Wspięcie na palcach.

Na dwa: Przysiad głęboki. Zginając kolana, przy wyprostowanym tułowi, zniżać się do ziemi. Pięty zawsze złączone. Przysiad wykonywać we wspięciu na palcach.

Na trzy: Powrót do postawy „na dwa“, wolno prostując kolana.

Na cztery: Powrót do postawy zasadniczej, przez oparcie pięt na ziemi.

Ćwiczenie to połączyć możemy z ruchami rąk, a mianowicie:

1. Wspięcie na palcach z podniesieniem ramion do poziomu.

2. Przysiad, ręce w pion.

3. Powrót do wspięcia i ręce do poziomu.

4. Postawa zasadnicza.

Ruchy rąk muszą być wykonywane bez zginania ich w łokciach.

Pamiętać należy, że przysiad należy wykonywać zawsze, stojąc na palcach, nigdy na całej stopie.

Ćwiczenie III. Skłon głowy w tył. Na dwa tempa. Postawa zasadnicza. Ręce na biodrach.

Na raz: Skłonić głowę w tył, przyciągając zarazem brodę do szyi.

Na dwa: Powrót do postawy zasadniczej. Celem ćwiczenia tego — wyrabianie grupy mięśni szyi.

Ćwiczenie IV. Postawa zasadnicza. Ręce na biodrach. Zwroty głowy. Ćwiczenie na 4 tempa.

1. Zwrot głowy na lewo. Pracują wyłącznie mięśnie szyi. Korpus nieruchomy.

2. Głowa wraca do postawy zasadniczej.

3. Zwrot głowy na prawo.

4. Powrót do postawy zasadniczej.

Przy wykonywaniu ćwiczenia tego, głowę należy trzymać prosto, nie pochylając jej ku przodowi i nie odchylając w tył.

Ćwiczenie to posiada szczególną wagę dla osób o szyi krótkiej i tęgiej, a więc z natury mało zwrotnej. W każdym razie nie należy przy wykonaniu ćwiczenia tego zbyt forsować mięśni, szczególnie w początkach.

Uważać bacznie, aby przy zwrotach głowy ciało pozostawało nieruchome w pozycji zasadniczej.

W artykule następnym omówimy szereg dalszych ćwiczeń Linga. W sumie stanowią one będą mały system najprostszych ćwiczeń szwedzkiego systemu, mogących być praktykowanymi w każdym pokoju i ćwiczących równomiernie wszystkie grupy naszych mięśni. To ostatnie jest wybitną cechą systemu Linga. Droga wyboru odpowiednich ćwiczeń, osiąga on system, który zajmuje się ćwiczeniem wszystkich grup mięśni, zapewniając tym sposobem człowiekowi harmonijny rozwój.

(d. c. n.)

K. M.



JEDWABNIK W POLSCE

Wbrew obawom i nieufnościom, ugruntowanym na poprzednich smutnych doświadczeniach, obcy ten przybysz zupełnie dobrze czuje się u nas, możnaby nawet powiedzieć, że lepiej, niż gdzieindziej.

Wiadomości, napływające do Stacji Doświadczalnej w Milanówku, że 100 przeszło punktów hodowli jedwabnika, brzmią bardzo pomyślnie. Gąsienice nie chorowały w tym roku wcale i nie ginęły prawie zupełnie, chyba przypadkowo, na skutek niedopatrzenia hodowcy, gdy która liszka, spadłszy z półek, zakończyła żywot śmiercią głodową. Są to rezultaty—we Francji np.—nie spotykane. Tam nawet dwadzieścia kilka procent padłych gąsienic uważa się jeszcze nie za klęskę, a za zupełnie normalny przebieg procesu hodowlanego.

Niewątpliwie, w tych dobrych wynikach jest duża zasługa naszej Stacji Doświadczalnej, która, hodując jajeczka metodą Pasteura i w sposób niezmiernie staranny, nie dopuszcza szerzenia się bakterij choroby twórczych.

Stwierdzenie, po paru latach prób, że klimat nasz nie stanowi przeszkody, ani dla życia i rozwoju owadu, ani dla życia jego karmicielki, morwy białej, stanowi fakt niezmiernie doniosłości: otwiera przed naszym przemysłem jedwabniczym te perspektywy, o których w „Bluszczu” już raz pisaliśmy, a które w rozwoju naszego życia ekonomicznego mieć mogą i powinny—kolosalne znaczenie.

W roku bieżącym, do miesiąca listopada, wydaliśmy, wedle obliczeń urzędowych, 30 milionów złotych na jedwabie zagraniczne.

Te 30 milionów powinny zostać w kraju, przechodząc do rąk hodowców, przemysłowców i robotników, zatrudnionych w krajowych fabrykach jedwabiu.

Zanim jednak pomyśleć będzie można o założeniu pierwszej fabryki tkanin jedwabnych, należy rozszerzyć hodowlę na taką skalę, by surowiec krajowy dał na cały rok zatrudnienie maszynom. Można by, wprawdzie, posiłkować się narazie surowcem

wschodnim, jak to czyni zresztą, i Francja. Myśli te nawet krążą już w powietrzu. Jednakże stoją tu jeszcze różnorodne czynniki na przeszkodzie. A tymczasem produkcja nasza, choć wzrastająca z roku na rok, wystarcza narazie tylko na zatrudnienie paru warsztatów ręcznych.

W r. b. Stacja Doświadczalna w Milanówku zakupiła 1500 kilogramów oprzędów suchych, płacąc po 25 zł. za kilogram. Jest to prawie całość produkcji krajowej.

Pod względem jakości surowca, na czoło producentów wysunęła się pani Młodzianowska z Kawęczyna, w ziemi Kaliskiej. Oprzędy, przez nią wyprodukowane, przewyższają o 5% najbardziej wartościowe okazy produkcji francuskiej. Otrzymała—też w charakterze premii za wzorową hodowlę, cenę 30 zł. za kilogram.

Największym zbiorem pochłubić się może (40 kilogramów oprzędów suchych) p. Czernicki z Wołkowską.

Bardzo piękny plon miała p. Czermińska z Opola w Lubelskiem.

Wysokiej wartości oprzędy dostarczyła szkoła rzemieślniczo-przemysłowa w Wiśniowcu (Wołyń). Hodowla p. Czarneckiej w Naczu pod Baranowiczami dowiodła, że nawet w najbardziej na północo-wschód wysuniętym punkcie Rzeczypospolitej hodowla jedwabnika doskonale się udaje.

Spółeczno-oświatowy charakter miała praca ks. Żółtowskiego, kapelana wojskowego w Zegrzu, który hodowlę jedwabników prowadził wraz z żołnierzami, przekazując im tę użyteczną umiejętność na dalsze życie, gdy już po odbyciu służby wojskowej do zagród rodzinnych powrócą. Nawiasem mówiąc, gdyby ten system upowszechnić w armii, byłaby to doskonała propaganda jedwabnictwa wśród drobnych rolników, którzy hodowlą jedwabników podnieśli by bardzo znacznie wydajność swoich małych gospodarstw.

W r. bieżącym najwyższa suma, jaką wypłacono w Milanówku producentowi jedwabnego surowca, była 1500 zł. Inni otrzymywali po 1000, 500, 300, 200 zł. i t. d.

Nawiasem mówiąc, jest to dochód netto, po odciążeniu, bardzo zresztą niewielkich (kilkadziesiąt zł.) kosztów produkcji. Gdy zważy się przytem, że praca nad hodowlą jedwabnika zajmuje tylko kilka tygodni w ciągu roku, że jest to praca bardzo lekka, odpowiednia dla kobiet i dzieci, będziemy musieli uznać jedwabnictwo za najbardziej dochodowy z drobnych przemysłów gospodarstwa rolnego.

Biorąc, jako przeciętny dochód producenta jedwabnego, 500 zł, obliczyć możemy, że dla uzyskania tego dochodu z innego źródła, musiałby on np. wyprodukować około 4000 jaj. A ile przytem kosztów? ile pracy? i jak wielkie szanse klęsk i niepowodzeń!

Jeszcze jedno interesujące zestawienie.

Gdyby na każde 2 i pół tysiąca mieszkańców Polski jeden człowiek tylko zajął się hodowlą jedwabników i produkował rocznie tylko 55 kilogramów oprzędów, osiągnęlibyśmy już 30 tysięcy kilogramów surowca. Trzydzieści milionów zł., wysyłane za granicę, pozostałyby w kraju.

Oczywiście, nie może być mowy o hodowli jedwabnika tam, gdzie niema drzew morwowych. To też ruch w kierunku zakładania nowych plantacji ożywił się w ostatnich czasach dosyć znacznie.

W r. b., na wiosnę stacja w Milanówku wyekspedjowała sadzonki do 88 miejscowości, na jesieni do 58, nadto posiano morwę (na doraźny po paru latach użytek) w 80 punktach kraju.

Zainteresowały się tą akcją samorządy. Gmina w Milanówku obsadza wszystkie drogi morwami; Sejmiki w Miechowie i w Tczewie w tym samym celu zakupiły pewną ilość sadzonek. Miejmy nadzieję, że są to pierwsze objawy powszechnego zrozumienia doniosłości całej sprawy.

O ile zakładanie plantacji morwowych jest pracą na dalszą przyszłość, o tyle tam, gdzie znajdują się morwy, posadzone przez naszych ojców i praojców, jedwabnictwo rozpocząć można natychmiast. A jest takich dawnych plantacji u nas bardzo wiele. Rozejrzeć się tylko należy w najbliższej okolicy, a okaże się nieraz, że do pracy już z najbliższą wiosną przystąpić można, a bezużyteczne dotychczas, morwy staną się poważnym źródłem krajowego bogactwa.

Stacja w Milanówku zakupuje każdą, choćby największą ilość dostarczonych oprzędów.

Niewątpliwie, czytelniczki ciekawe są, w jaki sposób zużytkowano tegoroczną produkcję jedwabiu?

Otóż w Milanówku funkcjonują warsztaty do rozmotywania jedwabiu, przy których zajętych jest 5-ciu robotników.

Rozmotany już i przygotowany do dalszego użytku jedwab odstępuje Stacja znanej przemysłowczynie, p. Mazarakowej, która w swoich zakładach przerabia go na pończochy i sprzedaje w sklepie, p. f. „Au petit Paris”, przy ul. Ujazdowskiej 34. Pończochy krajowe idą w cenie 26 zł., podczas gdy zagraniczne, tej samej wartości, dochodzą do 60 zł. za parę.

W sposób powyższy zużytkowano w tym roku 500 kilogramów surowca. Resztę postanowiła Stacja przerobić na tkaniny, na, szczególnie w tym celu sprowadzonym z Łodzi, warsztacie ręcznym.

Będziemy więc mieli w tym roku, już w sprzedaży, tkaniny jedwabne, krajowego wyrobu.

Powoli, ale idziemy naprzód.

W zakresie propagandy sporo uczyniono w tym roku.

Na Targach poznańskich ekspozycja Stacji Doświadczalnej w Milanówku otrzymała złoty metal, zaś kilku producentów prywatnych odznaczono listami pochwalnymi. Wielkopolska i Pomorze zainteresowały się bardzo poważnie narodzinami przemysłu jedwabniczego. Mniej poważnym był stosunek publiczności warszawskiej do wystawy jedwabnictwa, urządzonej w Centr. Tow. Rolniczym, a potem w ogrodzie botanicznym w Warszawie.

Zapytania, uwagi zwiedzających dowodziły, nie tylko zupełnego nieobycia się z tem doniosłym zagadnieniem, ale jakby i nieudolności sięgania wzrokiem w przyszłość.

Od 5 grudnia funkcjonował przez tydzień kurs jedwabnictwa w gmachu Centr. Tow. Rolniczego. Podkreślić też trzeba, że i prasa zainteresowała się żywiej tym tematem, a każdy artykuł w którymś z czasopism ma w następstwie pewną ilość zupełnie konkretnych poczyni.

Byłoby rzeczą konieczną, jednak, by sfery rządowe i Sejm w swoim zakresie sprawą tą się zajęły. H. C.

HODOWLA HIACYNTÓW

Trochę późno zwróciła się Sz. Pani F. K.—z Kuncowszczyzny—z zapytaniem, jak forsować hiacynty. Że życzy sobie jednak Sz. Pani, aby zakwitły dopiero w marcu, a w obecnej chwili są już w ziemi, w piwnicy, odpowiedź daję dla wszystkich pań, które z zamiłowaniem hodują i pielęgnują te piękne kwiaty. Różne są gatunki hiacyntów, i rozmaita pora ich kwitnienia, pierwszym więc warunkiem powodzenia jest racjonalny wybór gatunków. Chcąc całą zimę mieć kwitnące te kwiaty, trzeba dobrać odmiany, następujące po sobie—sadzić i forsować każdy gatunek z osobna, nie mieszając ze sobą wcześniej i później kwitnących odmian. Kupując cebulki, uważać trzeba, aby były całe bez uszkodzeń od uderzenia, lub plam od pleśni. Wybierać trzeba cebulki jaknajwiększe, ściśle i twarde. Z dużych nawet, ale miękkich—nigdy nie będzie pociechy—kwiat bokiem wyjdzie lichej. Oprócz wielkości i ściśłości cebulki—ważnem także jest jej dno, czyli podstawa cebulki, z której wychodzą korzenie. Powinna ona być zdrową, mięsistą i równą—inaczej nie da prawidłowego rozwoju. Cebulki najlepiej kupować, jak tylko ukażą się w handlu, żeby móc wybrać okazy zdrowe, silne i dobrać odpowiednie dla nas odmiany. Gatunek hiacynta nie wpływa ani na sposób sadzenia go, ani na rodzaj potrzebnej ziemi. Wszystkie hiacynty wymagają dobrej ziemi ogrodowej z dodaniem odrobiny inspektowej, chociaż pulchna ogrodowa w zupełności wystarczy. Trzeba sadzić cebulki w małe doniczki, w dużych bowiem źle i słabo kwitną; doniczki powinny być wymyte zeszłoroczne, właściwością, bowiem, hiacynta jest, że nie lubi nowej doniczki i najlepiej puszcza korzenie w starej. Jeżeli, w braku starych, musimy użyć nowych wazoników, powinny przedtem poleżeć kilka dni w wodzie. Przy sadzeniu postępuje się, jak zwykle—w spodzie doniczki przykrywa się dziurkę skorupką i nasypuje ziemi do pełna. Cebulka, posadzona w samym środku, powinna stać na takiej wysokości, żeby tkwiła cała w ziemi, górna zaś jej część znajdowała się na równi z powierzchnią. Ziemię obcisła się mocno, zostawiając po brzegach trochę miejsca do podlewania. Kto ma dużo cebulek jednej odmiany, może wsadzać po dwie i trzy do jednej większej doniczki. Tak posadzone cebulki, stawia się w miejscu ciemnym, chłodnym, w miarę wilgotnym. Takie miejsce najłatwiej znaleźć w ziemi, w ogrodzie, lub w piwnicy. W suchym miejscu kopie się dół, głęboki na stopę, i w tym dole ustawia doniczki jedną obok drugiej—znacząc odmiany tak, aby się przy wyjmowaniu nie pomylić. Zanim dół zasypiemy ziemią, trzeba ze dwa razy porządnie skropić doniczki. Hiacynty pozostawiamy w dole, aż do pędzenia, a, żeby ziemia nie przemarzła, okrywamy ją liśćmi, albo nawozem. W braku ogrodu można to samo urządzić w piwnicy: na grubej warstwie piasku ustawić doniczki jedna przy drugiej, a podławszy obficie, przykryć również piaskiem. W braku piwnicy można jeszcze ustawić hiacynty w zimnym pokoju: wziąć dużą skrzynię, umieścić w niej doniczki na podsypnym piasku, który nie powinien być suchy, ale umiarkowanie wilgotny. W hodowli pokojowej bardzo trudno doprowadzić do kwitnienia hiacynty na Boże Narodzenie, i nawet najwcześniejsza odmiana o drobnych, białych kwiatkach, zwana „Romaine blanche” rzadko się udaje. Jeżeli jednak wsadziliśmy cebulki już w sierpniu, można je przenieść z ukrycia do ciepłego po-



koju w połowie listopada. Innych wczesnych odmian nie należy brać do ciepła przed połową, lub końcem stycznia. Trzeba tak urządzić hodowlę, żeby co i raz zakwitały nowe kwiaty. W tym celu wnosić stale po parę, lub kilka sztuk do pokoju, z początku—co 14 dni, a później—co tydzień. Naturalnie na początek wybierać będziemy najsilniejsze i najbardziej rozwinięte sztuki. Wyjęte z ziemi doniczki, ustawiamy na początek w niezbyt widnym kącie pokoju, o temperaturze 6-ciu do 8-miu stopni R., aby je przyzwycząić powoli do zmiany warunków. W tym okresie należy je podlewać obficie, a potem przenieść do ciepłego, ale ciemnego miejsca. Najpewniej rozwijają się hiacynty na piecu w otwartej skrzynce, opakowane w trociny, lub piasek. Na spodzie skrzynki sypie się grubą warstwę piasku, a na tej warstwie ustawia doniczki, wpuszczone od 5-ciu do 6-ciu cm. powyżej brzegów. Pod skrzynkę podkłada się cegły, aby temperatura nie była za wysoka,—od 25 do 28 stopni R.—cebulki znoszą doskonale. Wody nie powinno nigdy brakować hiacyntom—jest to słaby punkt wszelkich amatorskich hodowli. Hiacynty potrzebują dużo wilgoci, więc piasek, lub trociny, powinny być stale utrzymywane mokro przez obfite podlewanie raz, a nawet dwa razy dziennie wodą, o ciepłocie 25° R. W takich warunkach kwiaty rozwijają się bardzo szybko i niedługo ukazują się ze skrzynki. Wtedy trzeba powymować doniczki—hiacynty ponakrywać tutkami z papieru i postawić cebulki na parę dni w miejscu ciepłym na pół widnym, w celu zahartowania ich. W okresie między jednym, a dwoma tygodniami, usuwa się papierowe osłonki, kwiaty, które mają niedługo zakwitnąć, ustawia się na oknie, i daje im się paliki.

Na oknie przy temperaturze 8 do 10° R. roślina rozwija się powoli — w zbyt ciepłym łodygi wydłużają się niemożliwie — kwiat prędko przekwita, a czasem, pomimo palika, przewraca się i łamie. Hiacynty, raz forsowane, nie dadzą się pędzić powtórnie, jedynie późno zakwitnąć mogą po raz drugi — ale kwiaty będą miały drobne i niskie—najlepiej, kto ma ogródek, przesadzić je w grunt. — W tym celu po okwitnieniu zasuszać powoli — a to polewając co raz rzadziej — w końcu wyjąć cebulki z doniczek, i przechowywać w miejscu suchym, a chłodnym, aż do czasu sadzenia w grunt, to jest, do połowy września. Pewniejsze i mniej kłopotliwe jest pędzenie hiacyntów w wodzie na specjalnych szklankach. — Potrzeba do tego tylko cebulek, słoików i wody. — Przy wyborze cebulek do takiego pędzenia, trzeba baczej na jeszcze zwracać uwagę na ich dna, gdyż tylko zupełnie wykształcone zdolne są do wypuszczenia korzeni i napełnienia nimi szklanki. — Trzeba również dobrze dobrać cebulkę, do szklanki — za duża — z trudnością dostanie się korzeniami do wody, za mała — opada za głęboko, dno łatwo gnije, i o porządnym kwitnieniu mowy być nie może. — Cebulki, pędzone w doniczkach; pierwszy okres przebywają w ziemi — przeznaczone do hodowli wodnej na szklankach, stawia się w pokoju mieszkalnym na szafie w miejscu pół ciemnym, suchym, aby je pobudzić do rośnięcia i przymusić do wytwarzania korzeni. Może to mieć miejsce od września do stycznia. — Woda, którą nalewamy w szklanki, powinna być zupełnie czysta — przezroczysta; mylnem jest mniemanie, że woda deszczowa, lub ze stawu, lepsza jest od studziennej.

Jeżeli woda pozostaje przezroczysta, a cebulki dobrze są dopasowane, niema potrzeby zmieniania jej podczas pędzenia. W pierwszych tygodniach woda

stać powinna stale na jednej wysokości, o jakieś pół cm. poniżej dna cebulki. Suche powietrze dostatecznie pobudza korzenie do rośnięcia, i po upływie kilku dni są one już w wodzie. Gdy opuszczają się głęboko, nie trzeba utrzymywać poziomu wody tak starannie: niższy nie szkodzi wtedy wcale, prędzej — zbyt wysoki, przy którym cebulka, stojąc w wodzie, łatwo gnije. Hiacynty na szklankach, skoro tylko puszcza mocne korzenie, nakrywa się osłonką papierową, lub tylko tak zwanym „kapeluszem“, który usuwa się, skoro pędy cebulki dotkną jego wierzchołka. Wtedy stawia się szklanki na oknie, gdzie rośliny prędko zakwitają, a dla nadania im prostej postawy, umieszczamy palik, z podwójnie skręconego drutu, którego końce owijamy wokoło szyjki słoika. Cebulki hiacyntów, forsowanych na wodzie, mają jeszcze mniejszą wartość do pędzenia w roku następnym — niż hodowane w doniczkach.

J. S.



OSZCZĘDNOŚĆ I SKĄPSTWO

Dwa pojęcia zupełnie różne, które bywają nieraz łączone, a nawet mieszane w życiu codziennym. Szczególniej służba nasza każde wprowadzenie ład w użytkowanie produktów i zapasów, każde wprowadzenie ściślejszej rachunkowości, kontroli nad zakupami, zużytkowywanie racjonalne resztek — chętnie skąpstwem mianuje. Nie powinno to nas zniechęcać. Mamy to już w naturze, we krwi, że nie lubimy zajmować się detalami, „być drobiazgowo“, jak same to pogardliwie nazywamy. Oprócz tego, za wyjątkiem jakichś chorobliwych usposobień, mamy skłonność do występów, do pokazów, do życia nad stan, jeżeli nie w życiu codziennym, to w przyjęciach, w obchodach, w świętach rodzinnych i innych tym podobnych okazjach. Nie jest to nawet właściwie godnym potępienia, gdyż wpływa tylko z wygórowanej gościnności, niesłuchanie sympatycznej, mało gdzie dzisiaj uprawianej, cnoty. Gościnność, ta cecha słowiańska, może już tylko u nas się zachowywać; nie znam wprowadzić południowych słowian, lecz nasza sąsiadka Rosja, praktykująca gościnność na tak szeroką skalę, jak nikt inny chyba na świecie, dzięki ogólnej nędzy obecnej, nie może w niej z nami konkurować.

Tylko nawet w praktykowaniu tej gościnności powinniśmy zachować pewien umiar. Nie powinniśmy częstować naszych miłych gości ananasami, skoro nas w życiu codziennym nawet na jabłka nie stać, nie powinniśmy urządzić przyjęć za pożyczane pieniądze, nieraz nie wiedząc, z czego i kiedy ten dług oddamy, — a jedno i drugie, niestety, często się zdarza. Pozwoliłam sobie na taką dywersję, pociągniętą tematem bolesnym, a wciąż aktualnym. Wracam do zwykłej oszczędności. Otóż wszelkie starania w kierunku nie marnowania niczego, zużytkowywania wszystkiego, co się zużytkować da, nazywam oszczędnością. Tak samo wszystko, co robimy w kierunku zastosowania się do naszego budżetu, do unormowania wydatków w jego ramach.

Natomiast wszelkie odmawianie sobie i swoim najbliższym zaspokojenia jakichś potrzeb, wygod, a nawet pewnego zbytku, komfortu, na które nasze środki, lub zarobki pozwalają, tylko w celu zrobienia oszczędności — nazywam skąpstwem. Gospodyni, która potrafi sobie obliczyć dokładnie ilości produktów spożywczych, potrzebnych na jakiś dany przeciąg czasu, przypuśćmy na miesiąc, — która wie, ile zapasów zimowych, konserw, marynat, konfitur itp. użyje w ciągu zimy, i w te wszystkie artykuły chociażby najobficiej się zaopatrzy, a przez to zmniejszy wydatki, gdyż robi je w domu, nie będzie przepłacała, kupując w sklepach i sklepikach, robi je w odpowiednim sezonie, kiedy wszystko jest tańsze, dostarczy swojej rodzinie przysmaków, niedostępnych przy innym sposobie prowadzenia gospodarstwa, ułatwi sobie zarządzanie wykwinniejszych dań przy przyjęciach — będzie oszczędna.

Gospodynię, która porobi te same zapasy bez żadnego sensu i umiaru, nie dopilnuje ich zużytkowania, nie będzie ich używała właściwie i w należyty sposób i w końcu roku będzie miała pełną spiżarnię nadpsutych, lub zupełnie zepsutych artykułów już nie do użycia, każdy nazwie skąpą tylko. I to nie tylko w dziedzinie spożywczej, — kiedy chodzi o ubranie, o stroje, jeszcze bardziej różnica między oszczędnością, a skąpstwem jest widoczną.

Są osoby, które nabywają wszystko, co im się gdziekolwiek w sklepie, lub u modniarki podoba, zapełniają komody i szafy sukniami i bielizną, obuwem i kapeluszami, — nigdy, lub prawie nigdy ich nie noszą, nie znajdując nigdy dość godnej okazji do ich użycia, toż samo robią ze swymi dziećmi, które, posiadając całe masy odświętnych ubrań, noszą już tylko zupełnie wyszarżane, lub wyszłe z mody ubranka, i takie kobiety, pomimo dużych środków, jakie wydają, ogromnych sum, jakimi operują, są typowymi skąpczyniami.

Kobieta prawdziwie oszczędna potrafi każdą rzecz zużytkować, każde ubranie zastosować, odpowiednio uwydatnić jego wygląd, nie wydając na to dużo, nie rujnując się na stroje, kosztem innych potrzeb domu i rodziny. Kto z nas nie pamięta doskonale, francuskiej bajki, o skąpcu i jabłkach, — skąpcu, który zjadał tylko te, które już były nadpsute, — jest to najlepszy przykład skąpstwa, skąpstwa, które wszystko marnuje, zamiast w czas użyć. Oszczędność buduje, przysparza, — skąpstwo niszczy, marnuje. I jeszcze jedno — niema małych i dużych oszczędności, oszczędność jest jedna tylko, składa się z drobiazgów, a daje duże rezultaty. Wchodzą do niej i ład, i porządek, i zapobiegliwość, i rachunkowość, i zamiłowanie domu, pracy, własnego gospodarstwa i przywiązanie do swojej rodziny, chęć przysporzenia jej dobrobytu, danie maksimum wygod, komfortu, rozrywek w granicach naszej możliwości, naszego przemyślanego, dobrze opracowanego i sumiennie wykonywanego budżetu, — podstawy wszystkiego.

Pani Elżbieta.

Przepisy Gospodarskie



PĄCZKI WYPRÓBOWANE

Dwoma szklankami wrzącego mleka sparzyć szklankę najlepszej mąki, (jeśli można walcówki), wybijać mocno drewnianą łyżką, lub kopystką, aż wystygnie, dodać dwadzieścia deka drożdży, rozpuszczonych w pół szklance letniego mleka, wlać do zaparzonej mąki i jeszcze dobrze wyrobić. Nie powinno być wcale klusek. Kilo i dwadzieścia deka cukru ubić do białości z czterdziestu żółtkami, pół laską, (lub całą, jeśli mała), utłuczonej wanilji, pół szklanką araku, lub chociaż spirytusu, dolewając czterdzięci deka topionego masła; wsypać w to trzy kilo, lub nieco więcej, stosownie do suchości, mąki, wyrabiać ciasto tak długo, aby od ręki odstawało. Nie zapomnieć dodać dobrą łyżeczkę soli, bez której każde ciasto będzie niesmaczne. Ciasto nie powinno być zbyt gęste. Jak się dobrze podniesie, brać po kawałku, rozciągać cienko na stole, posypanym mąką, kłaść po małej łyżeczce malin, lub wisien, osączonych z syropu, — w odstępkach, odpowiadających rozmiarowi pączka, wykrajać szklanką, ułożyć na desce, posypanej mąką, i dać dobrze podrosnąć w cieple. Gdy już wyrosnięte, w dużym, szerokim, a płaskim rondlu rozgrzać szmalec, próbować kawałkiem ciasta, gdy to się dobrze zrumieni, zaczynać smażyć pączki. Wrzucać ich naraz tyle, aby swobodnie pływać mogły. Kłaść wyrosniętą stroną do dołu. Przykryć na parę minut rondel pokrywą, aby dać pączkom urosnąć z drugiej strony. Pokrywę zdjąć, jeśli pączki z jednej strony rumiane, przewrócić na drugą. Po wyjęciu durszlakową łyżką, osączyć chwilę na bibule, poczem zaraz osypywać cukrem, utłuczonym z wanilią, lub też gorące maczać w lekkim ulepie cukrowym, zaprawionym suto arakiem, lub esencją ponczową i skórą cytrynową.

WÓDKA ANIELSKA GORZKA

Pięć deka pieprzu angielskiego (ziela), dwa goździki, cztery małe, zielone, gorzkie pomarańcze, lub, w braku ich, cieniuchno skrajane skórki żółte z jednej dużej pomarańczy, zalać to litrem spirytusu i litrem przegotowanej wody. Trzymać w cieple miesiąc, przecedzić przez watę, zlać do butelek i trzymać jeszcze przed użyciem trzy miesiące najmniej. Pani Elżbieta.

Dr. J. ŚWITALSKA

JUŻ WRÓCIŁA I ORDYNUJE CODZIENNIE OD 5-7.
KRUCZA 31, MIESZK. 3.

KOSMETYKA LECZNICZA, CHOROBY SKÓRNE I PŁCIOWE, ŚWIATŁOLECZNICTWO.

DOBRE RADY

Przy dzisiejszych kłopotach z fryzowaniem krótkich włosów, dobrze spróbować następującego płynu, który ma własność zwijania włosów w loki. Wziąć: 7 gr. bardzo czystego potażu, 3 gr. salomoniaku, 15 gr. gliceryny, 12 gr. alkoholu, 50 gr. wody różanej. Można ten płyn uperfumować. Luźno związane, lub rozpuszczone włosy, macza się tym płynem, a po wyschnięciu zwijają się w kędziory.

* * *

Aby włosy przez czas dłuższy utrzymały ondulację, trzeba zastosować do umocnienia ich następującą wodę: Wziąć 20 gr. tynktury benzoesowej, 100 gr. spirytusu najczystszej i 2 krople olejku różanego — zmieszać dobrze ten płyn, nacierać nim włosy, a dłuższy czas po u fryzowaniu zachowają karby.

KORESPONDENCJE

Z. S. w Wilejce. Kuracja trwa 3 miesiące. Sposób użycia jest przykry, bo połączony ze specjalnem odżywianiem się. Jeśli się niema siły woli, to nie potrzebne wydawanie pieniędzy. Dla przeprowadzenia kuracji — organizm musi być ogólnie zdrowy. Stosuję jedynie dla pacjentek, przeziemnie uprzednio zbadanych.

A. S. S. Na wrastające w ciało paznokcie u nóg koniecznem wskazaniem jest noszenie wygodnego obuwia. Pozatem radzę udać się do chirurga. Proszę nie lekceważyć, bo wrastanie może mieć b. przykre objawy, a w następstwie — bardzo bolesna operacja.

Dla grodnianki. Na dolegliwości, jakie Pani opisuje, konieczne jest zbadanie przez lekarza chorób kobiecych. Ze względu na zbyt poważne następstwa, nie wolno tych rzeczy zaniedbywać.

Łuśce z Mławy. Proszę o podanie bliższych szczegółów, dotyczących Pani włosów.

1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone i z jakim skutkiem, 4) czem Pani myje, 5) jak często?

Poza tem stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia.

Halinie z Warszawy. Pielęgnacja biustu powinna iść łącznie z jego rozwojem.

Jedynie masaż może przynieść Pani poprawę. Można nauczyć się masażu i stosować go samej. Poza tem konieczne są natryski — jeżeli niema przyrządu specjalnego, to zwykły rozpylacz może go zastąpić. Proszę przeczytać o pielęgnacji biustu w mojej książce: „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“.

Pani Marji. Odpowiedź identyczna z odpowiedzią — Halinie z Warszawy.

Złosiwej „Piegolin“ może być wysyłany odwrotną pocztą — cena tego naszego preparatu 10 zł.

„Piegolin“ przewyższa wszystkie dotychczas używane środki, gdyż może być stosowany stale bez żadnej szkody dla skóry.

Sposób użycia jest następujący: Na noc po umyciu twarzy ciepłą wodą z mydłem i po wysuszeniu miękkim ręcznikiem, nasmarować maścią „Piegolin“; rano umyć twarz gorącą wodą z mydłem (mydło liljowe) oblać zimną wodą, wysuszyć i wetrzeć „Mój Krem“, a potem przypudrować „Moim pudrem higienicznym“, odpowiednio dobranym do koloru cery. „Mój krem“ Dr. Świtalskiej cena 6 zł. „Mój puder higieniczny“ cena 4.50. „Moje mydło Liljowe“ cena 3.50.

Dla „Bagateli“. Tło astmy bywa różnorodne i trudno bardzo bez zobaczenia radzić. Wogóle jednak, jest to choroba uleczalna, ważnem jest tylko stwierdzenie, co ją powoduje czego nie można skutecznie bez osobistego zbadania. Plamy brązowe na ciele, które wystąpiły jakoby po chloroformie, są zjawiskiem bardzo rzadkiem — proszę spróbować smarować je według przepisu maścią „Piegolin“ a gdyby to nie pomogło, napisać, wtedy zastosujemy środki silniejsze.

Dr. J. Świtalska.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, niewysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ego rano i od 3-ego do 4-ego pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.

Przysławki gorące
zbiór praktycznych przepisów



cena 1 zł 50 gr.
do nabycia wszędzie!

Wydany przez „BLUSZCZ“
WARSZAWA
PL ZAMKOWY 99.

„ZIMNE PRZEKĄSKI“
zbiór praktycznych przepisów



Wydany przez „BLUSZCZ“
WARSZAWA
PL ZAMKOWY 99.

CENA 1 zł 50 gr.
DO NABYCIA W SZĘDZIE